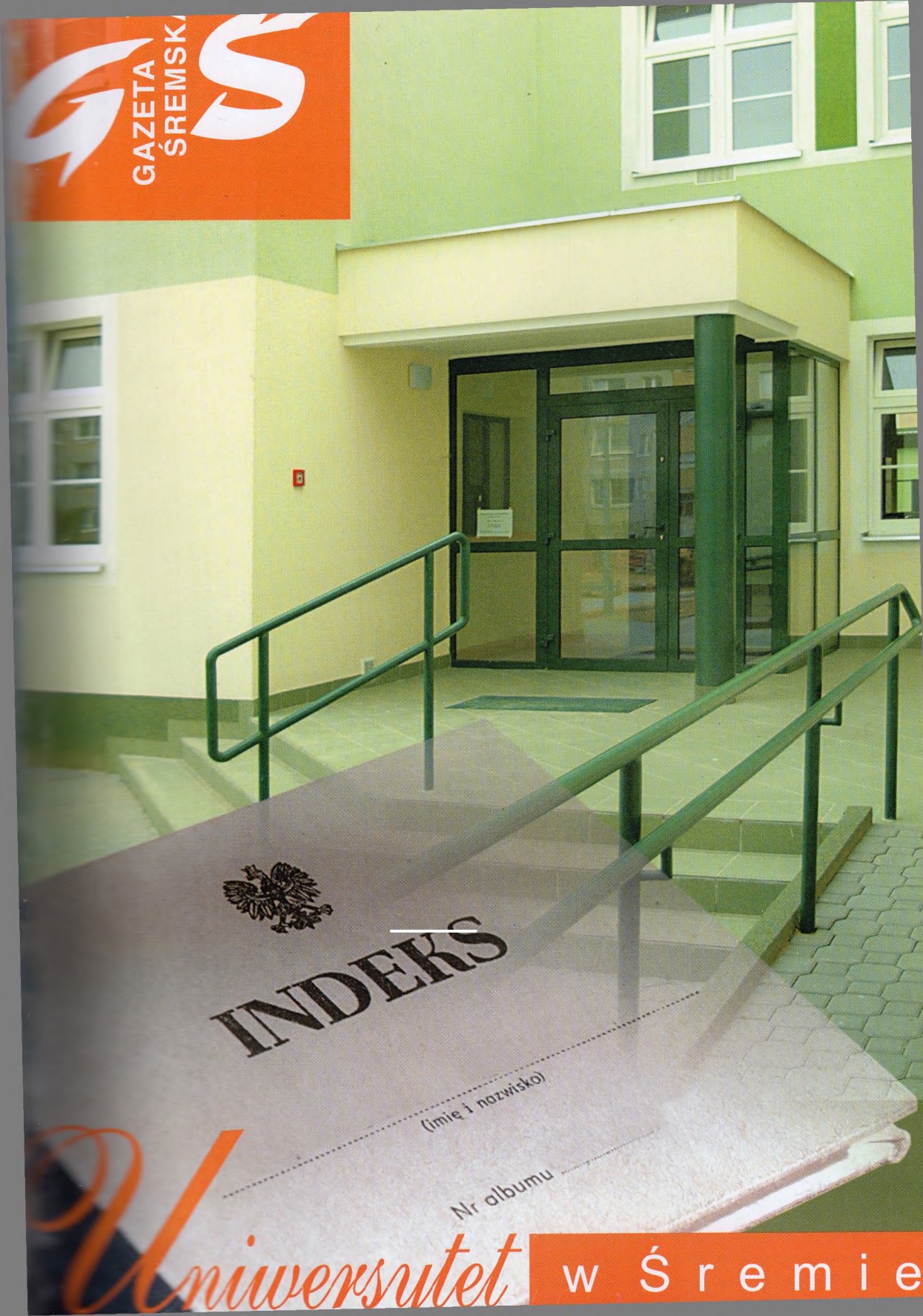




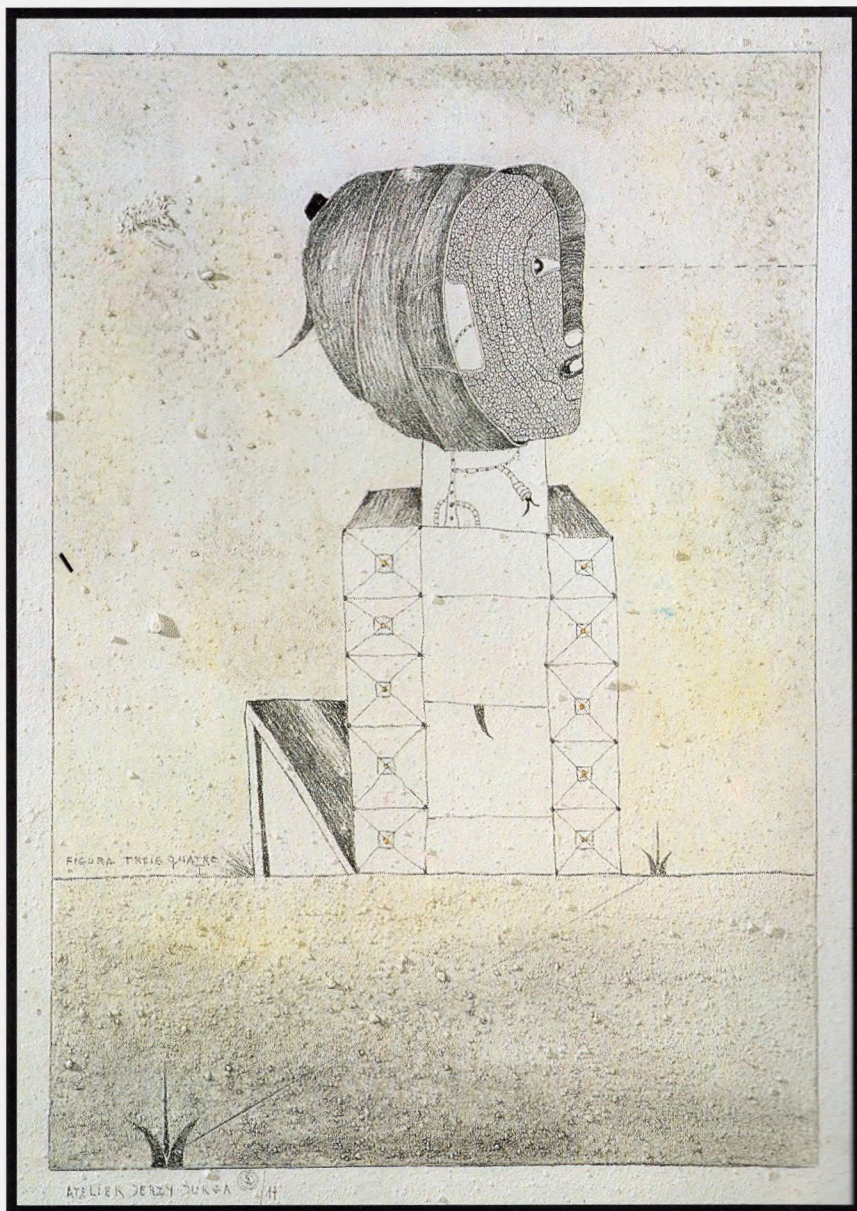
  
**INDEKS**

.....  
(imię i nazwisko)

.....  
Nr albumu

*Uniwersytet* w Śremsku





*figura trois quatre 2000*

Jerzy Jurga

malarstwo

Muzeum Śremskie  
październik



# W numerze październikowym:



Wiesi z ratusza ..... 2

Edukacja - droga przez życie ..... 8



Uniwersytet w nowej siedzibie .. 5



Fotografie, książki  
i ciasteczka ..... 11



Czy nie niewiele sobie robi  
mierzenia... ..... 6



U Muślewskiego do pożaru  
młyna ..... 16



# Wieści z ratusza



## Parkometry w Śremie

2 września na Placu 20 Października i w obrębie "nowego targowiska" uruchomionych zostało 8 parkometrów, które obsługują ponad 300 miejsc parkingowych.

W celu wyłonienia firmy obsługującej owe parkometry, dnia 18 czerwca 2002 roku odbył się przetarg, wygrany przez firmę Projekt & Serwis Polska Sp. z o.o. Poznań.

Firma ta działa na rynku od pięciu lat i obsługuje strefy płatnego parkowania w takich miastach, jak Ślubice, Nysa, Bydgoszcz, Międzyzdroje, Wrocław czy Gorzów Wlkp.

Umowa pomiędzy miastem a wyżej wymienioną firmą podpisana została na okres do marca 2008 roku. Zyski z opłat parkingowych dzielone są w stosunku 57% dla firmy obsługującej i 43% dla miasta. Firma ponadto zobowiązana jest do pełnego serwisu i napraw w razie awarii tych urządzeń, bez jakichkolwiek kosztów po stronie miasta.

Prawo do kontrolowania opłat parkingowych posiadają pracownicy firmy, straż miejska oraz pracownicy Urzędu Miejskiego.

Cennik za korzystanie z parkingów przedstawia się następująco: za pierwsze 1/2 godziny parkowania trzeba zapłacić 1,20 zł, za każdą następną rozpoczętą godzinę 1,50 zł.

Istnieje też możliwość wykupienia abonamentu tygodniowego w cenie 17 zł. i miesięcznego w cenie

60 zł. Karty abonamentowe można za kupić w Biurze Obsługi Klienta, które mieści się na Placu 20 Października 49. Tam także będzie można zwracać się ze wszelkimi problemami związanymi z funkcjonowaniem parkometrów. Biuro jest czynne



Burmistrz podczas wręczania stypendiów

codziennie od godziny 8.00 do 18.00, a w soboty od 8.00 do 14.00.

## Stypendia Burmistrza Śremu

W Gimnazjum nr 1 w Śremie odbyło się już po raz trzecie spotkanie, na którym wręczono stypendia dla najlepszych uczniów gminy Śrem. Stypendia przekazywał na ręce młodych talentów Burmistrz Śremu Marek Basaj, a wśród zaproszonych gości znaleźli się oprócz młodzieży także rodzice i dyrektorzy szkół.

Tegoroczne stypendia wręczono 35 uczniom w dziedzinach: nauka (12 osób), sport (22 osoby) i kultura (1 osoba). W porównaniu do ubiegłych lat liczba stypendystów stale rośnie, a ten rok przewyższa poprzedni o 10 nagród.

Pod względem ilości przyznanych stypendiów przodkuje Szkoła Podstawowa nr 6 i Gimnazjum nr 1, a wśród szkół wiejskich liderem jest Szkoła Podstawowa w Nochowie.



Dwie osoby spośród wyróżnionych odbiorą ten laur po raz trzeci. Są to: Jacek Tomczak, uczeń Szkoły Podstawowej nr 4, wybitny szachista, Mistrz Polski Szkół Podstawowych oraz Szymon Kubala, który zajął 3 miejsce w Mistrzostwach Polski Młodzików, Kadetów i Juniorów w Karate.

Wartość stypendium uzależniona jest od osiągnięć stypendystów. Jeżeli ktoś odniósł sukces na arenie lokalnej i w skali województwa należy mu się dwukrotna najwyższa stawka zasiłku młodniczego. W sytuacji osiągnięć na skalę krajową czy też międzynarodową naliczana jest czterokrotność owego zasiłku. Sumy takie dostaną najlepsi uczniowie wynosząc odpowiednio 150 do 260 zł. Stypendia wypłacane będą co miesiąc przez cały nadchodzący rok szkolny dokładnie od września do sierpnia. Absolwenci gimnazjów otrzymają całą sumę jednorazowo.

Wśród największych talentów gminy Śrem znaleźli się: Agnieszka Mularczyńska, Monika Wesołowska, Kamila Nowicka, Karolina Bródka, Magdalena Kolańska, Justyna Basaj, Alicja Mularczyk, Marta Budzyń, Renata Karlińska, Zbigniew Wojtkowiak, Barbara Nowicka, Kinga Płończak, Anna Witczak, Klaudia Janowska, Zuzanna Młodak, Jacek Tomczak, Emilia Szczepaniak, Jakub Nowak, Marcelina Tyrakowska, Daria Pietrasewska, Bogna Wawrzyniak, Magdalena Wawrzyniak, Aleksandra Graczyk, Zuzanna Gender-

ka, Justyna Kurek, Anna Stefaniak, Błażej Owczarzak, Szymon Kubala, Jakub Karman, Artur Kowalski, Sandra Kaczmarek, Anna Stachowska, Bartosz Frąckowiak, Tomasz Klak i Paulina Lesińska.

## Święto Plonów w Gajówce

Tegoroczne gminno-powiatowe dożynki odbyły

się w jednej z największych i najstarszych wsi gminy Śrem - w Zbrudzewie. Uroczystości rozpoczął barwny korowód z jeźdźcem na czele, a tuż za nim przemaszerowali kolejni uczestnicy: orkiestra, dzieci w strojach ludowych, przedstawiciele władz i zaproszonych gości, a bryczką przejechali starostwie dożynek - Karolina Różycka z Szolder i Tadeusz Owczarzak ze Zbrudzewa.

Po mszy polowej, którą odprawił ksiądz dziekan Marian Brucki, rozpoczęła się część obrzędowa dożynek. Rozpoczął ją burmistrz Śremu Marek Basaj, który przywitał zaproszonych gości. Głos zabrał również

drugi z gospodarzy uroczystości, starosta Teodor Stepa. Uroczystości uświetnił zespół Chabry, który zaprezentował program artystyczny, przedstawiający tradycyjne obrzędy dożynek.

Tradycyjnie już podczas dożynek osobom szczególnie zasłużonym dla gminy wręczone zostały złote, srebrne i brązowe krzyże zasługi. W imieniu pre-



Starostwie dożynek przekazują chleb na ręce gospodarzy



Występ zespołu Chabry

Wśród największych talentów gminy Śrem znaleźli się: Agnieszka Mularczyńska, Monika Wesołowska, Kamila Nowicka, Karolina Bródka, Magdalena Kolańska, Justyna Basaj, Alicja Mularczyk, Marta Budzyń, Renata Karlińska, Zbigniew Wojtkowiak, Barbara Nowicka, Kinga Płończak, Anna Witczak, Klaudia Janowska, Zuzanna Młodak, Jacek Tomczak, Emilia Szczepaniak, Jakub Nowak, Marcelina Tyrakowska, Daria Pietrasewska, Bogna Wawrzyniak, Magdalena Wawrzyniak, Aleksandra Graczyk, Zuzanna Gender-



zydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego wręczył je wicewojewoda wielkopolski Waldemar Witkowski.

Złoty Krzyż Zasługi otrzymał Zdzisław Wietrzykowski, Srebrne Krzyże otrzymali: Hieronim Bartkowiak, Roman Bartkowiak, Ewa Bromberek, Zygmunt Ciołek, Józef Kocemba, Michał Ratajczak, Krystyna Szymańska, Jerzy Stępień, natomiast Brązowe Krzyże Zasługi otrzymali Grzegorz Niwiński i Tadeusz Rosół.

W czasie trwania dożynek odbyło się wiele konkursów i rozgrywek, zorganizowanych przez właściciela Gajówki, Romana Wiśniewskiego oraz Radę Sołecą wsi Zbrudzewo.

Można było spróbować swoich sił w strzelaniu z wiatrówki czy w rzutach łotkami lub poszukać pieniędzy w stogu siana. Do największych atrakcji należały pokazy motolotni i przelot śmigłowcem.

Przy okazji należałoby podkreślić zaangażowanie mieszkańców wsi Zbrudzewo oraz gospodarza terenu, na którym miały miejsce obchody Święta Płonów.

## Dzień bez samochodu

Od trzech lat samorządy krajów Unii Europejskiej organizują pod patronatem Dyrekcji Generalnej "Środowisko" Komisji Europejskiej kampanię "Dzień bez samochodu". Wzorem innych państw również Polska bierze czynny udział w tej akcji.

Celem kampanii jest zachęcenie mieszkańców do pozostawienia w danym dniu samochodów w garażu i skorzystania ze środków komunikacji miejskiej, roweru, bądź też do przyjścia pieszo do miejsca pracy.

W Śremie dniem bez samochodu jest dzień 23 września 2002 roku. Pracownicy Zespołu Ochrony Środowiska i Usług Komunalnych Urzędu Miejskiego już wcześniej przeprowadzili akcję propagandową, mającą na celu zachęcenie jak największej ilości śremian do uczestnictwa w tej tak ważnej dla poprawy jakości środowiska imprezie.

Ogólnopolskim koordynatorem "Dnia bez samochodu" jest Fundacja Ekonomistów Środowiska i Zasobów Naturalnych z Białego Stoku. O rezultatach akcji poinformujemy Państwa za miesiąc.

## Międzynarodowy Listopad Poetycki

Już po raz dwudziesty piąty odbędzie się Międzynarodowy Listopad Poetycki.

W tym roku jest on zaplanowany w dniach od 12 do 17 listopada.

Doktor Niko

Chadżinikolau, prezes poznańskiego oddziału Związku Literatów Polskich potwierdził, iż jeden dzień uczestnicy spotkania spędzą w Śremie. W wyniku rozmów ustalono, iż 35 twórców krajowych i zagranicznych weźmie udział w spotkaniu z władzami samorządowymi gminy, a następnie odbędą się warsztaty i spotkania literatów w placówkach oświatowych. Przewiduje się, że wśród gości znajdą się twórcy z USA, Włoch, Niemiec, Grecji, Czech i z Polski. Szczegółowa lista uczestników zostanie przekazana w nieco późniejszym terminie.

Eleonora CHADŻINIKOLAU  
Biuro Promocji UM w Śremie  
Foto. archiwum





# Uniwersytet w nowej siedzibie

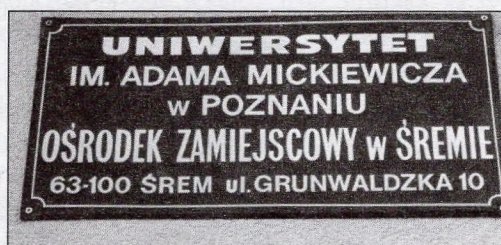
W 1993 roku z inicjatywy profesora Jerzego J. Langer, kierownika Laboratorium Półprzewodników Organicznych Zakładu Syntezy i Struktury Związków Organicznych (obecnie Pracowni Fizykochemii i Nanotechnologii) na Wydziale Chemii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, podjęto decyzję o przeznaczeniu dla potrzeb Laboratorium budynku przy ul. Marciniaka 2 w Śremie, co też następuje w formie użyczenia przez Urząd Rejonowy w Śremie. Jednocześnie czynione są starania o utworzenie w Śremie zamiejscowego ośrodka UAM prowadzącego badania i działalność dydaktyczną. Po wielu działaniach, 28 sierpnia 2001 roku dochodzi do podpisania porozumienia pomiędzy Uniwersytetem im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, reprezentowanym

przez JM Rektora prof. dr hab. Stefana Jurge, a Gminą Śrem, reprezentowaną przez Burmistrza Śremu mgr Marka Basaja oraz Zastępcę Burmistrza Śremu mgr Zbigniewa Ratajczaka. Na mocy podpisanego porozumienia Uniwersytet zobowiązuje się prowadzić zajęcia dydaktyczne w Śremie na poziomie 3-letnich studiów licencjackich dla 4 grup studenckich w kierunkach chemia materiałowa w ramach Wydziału Chemii oraz turystyka i rekreacja w ramach Wydziału Nauk Geograficznych i Geologicznych.

W roku akademickim 2001/2002 w wyniku postępowania egzaminacyjnego przyjętych zostało 60 studentów, z tej liczby 48 na turystykę i rekreację oraz 12 osób na chemię materiałową. Po wielu latach starań, w Śremie pojawili się studenci pierwszego roku. Uroczystość wręczenia indeksów studentom I roku nastąpiła 1 października 2001 roku. Uroczystość prowadził prof. dr hab. Andrzej Kostrzewski, ówczesny Dziekan Wydziału nauk Geograficznych i Geologicznych. Burmistrz Śremu w słowach skierowanych do studentów zapowiedział, że od nowego roku akademickiego 2002/2003 rozpoczną edukację w nowych uczelnianych murach. W roku akademickim 2001/2002 pomieszczeń dydaktycznych użyczono Śremski Ośrodek Sportu i Rekreacji w Śremie, Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy im. Heliodora Świeckiego w Śremie oraz Śremski Ośrodek Wspierania Małej Przedsiębiorczości w Śremie.

Odnowione działaniem Zarządu Miejskiego w Śremie, w obecności roku akademickim zajęcia będą realizowane w nowo wybudowanym budynku w Śremie zlokalizowanym przy ul. Grun-

waldzkiej 10. Nieruchomość o powierzchni blisko 2000 m<sup>2</sup>, wykonana wg najlepszych technologii, z pięknym obejściem, służyć będzie celom dydaktycznym i badawczym. Uroczyste otwarcie budynku, jak również inauguracja roku szkolnego 2002/2003 odbyła się 7 października 2002 roku w obecności Jego Magnificencji prof. dr hab. Stanisława Lorenca, władz Wydziałów Chemii oraz Nauk Geograficznych i Geologicznych, władz lokalnych z Burmistrzem Śremu Markiem Basajem i Przewodniczącym Rady Miejskiej w Śremie Bolesławem Wośkowiakiem. W inauguracji wzięło udział wielu wybitnych pracowników nauki Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu oraz studenci Oddziału Zamiejscowego w Śremie. Wykład inauguracyjny "Czy Kolumb odkrył Amerykę?" wygłosił prof. dr



hab. Waldemar Ratajczak.

Bardzo szybkie tempo prac wg projektu Biura Projektowego KOMPLEX - PROJEKT I.P. Wrześniewscy @ Cz. F. Marcinkowscy z Kościana, realizowane było przez "RAWBUD" RAWICZ - firmę o dobrych tradycjach budowlanych.

Kierunek chemia materiałowa jest najnowszą i najnowocześniejszą specjalnością studiów chemicznych na Wydziale Chemii, która ściśle wiąże się z badaniami prowadzonymi w Śremie przez Laboratorium Półprzewodników Organicznych Zakładu Syntezy i Struktury Związków Organicznych, przekształcone obecnie w Pracownię Fizykochemii Materiałów i Nanotechnologii.

Absolwent kierunku turystyka i rekreacja będzie specjalistą z zakresu przyrodniczych aspektów podróżowania oraz organizacji czasu wolnego. Będzie również posiadał wiedzę o czynnikach kulturowych i psychologiczno-społecznych wpływających na właściwe wykonywanie tego zawodu.

Środowisko akademickie, o którego pojawienie się i rozwój w Śremie zabiegaliśmy z dużą determinacją, niesie ze sobą bezpośrednio ożywienie życia społecznego, kulturalnego, a nawet gospodarczego. Jest inwestycją, która procentuje nie tylko w historycznym wymiarze, ale także teraz. Gwarantuje zrozumienie potrzeby, wręcz konieczności rozwoju inicjatyw i podniesienia atrakcyjności gospodarczej regionu. Możliwość realizacji tego rodzaju zamierzeń jest szansą, która nie istniała przez stulecia, a pojawiła się tu i teraz, i to nie samoistnie, bez przyczyny.

Adam LEWANDOWSKI



Warto przypomnieć

# Życie niewiele sobie robi z umierania...

Tadeusz Śliwiak - skąd go znamy? Przede wszystkim z repertuaru Marka Grechuty, Łucji Prus, Skaldów. Jego najpiękniejszy wiersz to **Song o młodości**.

Tadeusz Śliwiak urodził się w 1928 r. we Lwowie. Mieszkał z rodziną w służbowym mieszkaniu ojca, pracownika Miejskiej Rzeźni we Lwowie. Z okien domu wychodzących na ubojnię i hale chłodnicze widział pracujących w rzeźni Żydów. Zapamiętał obraz zwierząt zabijanych masowo przez tych, których również przeznaczono na zagładę. Z Krakowem związany był od 1948 r., gdy rozpoczął tam studia w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej. Ukończył wydział aktorski, jeszcze na studiach występując w Teatrze Rapsodycznym, a następnie uzyskując angaż w Starym Teatrze, poznał innego aktora-poetę Leszka Herdegena. O ile jednak Herdegen, wraz z którym został członkiem Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich, bardziej poświęcił się pracy scenicznej, o tyle Tadeusz Śliwiak zdecydowanie wybrał literaturę.

W 1956 r. zaczął redagować magazyn literacko-artystyczny *Czarno na białym* (następnie **Zebra**), w którym zadebiutuje jeszcze inny, znakomity poeta krakowski - Jerzy Harasymowicz. Razem z nim, a także m.in. Markiem Skwarnickim i bliskim Śliwiakowi duchowo Tadeuszem Nowakiem, założy w końcu lat 50. głośną grupę poetyc-



ką "Muszyna".

Szybko staje się Śliwiak jedną z ważniejszych postaci krakowskiego środowiska artystycznego. Przez pewien czas kieruje redakcją literatury i dramatu w miejscowym oddziale telewizji, redaguje *Magazyn Kulturalny*, a w 1967 r. przejmuje po Wisławie Szymborskiej kierownictwo działu poezji w *Życiu Literackim*. Z powodzeniem uprawia nie tylko twórczość dla dorosłych. Píše również dla dzie-

ci. Odnosi sukces czytelniczy, jego **Pan Słoń** przekracza setkiesięcny nakład i zostaje przetłumaczony na kilka języków. Poezję dla dzieci Tadeusza Śliwiaka podsumuje w 1982 r. dwutomowa **Bajka-tekka**. Wiele też poeta tłumaczy: z rosyjskiego, węgierskiego, niemieckiego, japońskiego, francuskiego (m.in. teksty piosenek znanego nie tylko młodszemu **Misia Colargola** to właśnie jego dzieło). To do jego też tekstów powstały tak znane piosenki, jak: **Nie chodź tą ulicą** Joanny Rawik **Krakowska kwiaciarka** Sławy Przybylskiej, **Wronie z róży** Łucji Prus, **Jarmark świata** Marka Grechuty, **Niebo w twoich rękach** Skaldów.

W gorącym okresie lat 80. poeta nie angażuje się politycznie. Związany z *Życiem Literackim*, "wybiera drogę konformizmu - pisze Rafał Watrowski - która zapewni ma upragniony spokój". Właśnie w latach 80. odbywa kilka ostatnich podróży, m.in. do rodzinnego Lwowa, gdzie bez skutku na-



luje odnaleźć ślady swego dzieciństwa i młodości. Stać się miało tak, jak napisał przed laty w wierszu **Dom**: "Przyszedłem dom zobaczyć/ nie powiem nikomu/ że byłem nie zastałem/ nie ma domu w domu". W wierszu **Długie piękne lato** napisanym w 1980 roku we Lwowie stwierdzi: "Opuszczone miejsca/ wypełniają się własną dramaturgią/ Powracając tam/ stajesz się tylko widzem/ nerwowo przecierającym szkiełka okularów".

Poeta pochowany został w Alei Zasłużonych cmentarza Rakowickiego w Krakowie. "Ktoregoś dnia, na stole został nie dokończony rękopis, w którym jest parę rzeczy do wykreślenia. Urządzono pogrzeb. Wieniec przyniosły krakowskie kwiatarki, któryś z przyjaciół uderzył się w pierś i odczytał wiersz, a Halina Wyrodek - jak zawsze pięknie - zaśpiewała:

Ta nasza młodość, z kości i krwi,  
 Ta nasza młodość, co z czasu kpi..."

Miał też Tadeusz Śliwiak - bo o nim mowa - smutny koniec, gdy samotnie odchodził w niepamięć, także swoją osobistą niepamięć, cierpiał bowiem na chorobę Alzheimera. Choroba przyspieszyła śmierć tego krakowskiego (choć urodzonego we Lwowie) poety, nadając jej wyjątkowo tragiczne znamie. Śliwiak zginął w grudniu 1994 r. pod kołami wyjeżdżającego z zajezdni tramwaju. "Był w szafroku - pisze Rafał Watrowski we wstępie do wydanej właśnie wyboru poezji twórcy Drogi za wafnokres - kilkaset metrów od miejsca zamieszkania i podążał w nieznanym kierunku."

Życie  
 życie niewiele sobie robi z umierania  
 trwa długo  
 albo urywa się nagle  
 niczego sobie nie przyrzeka  
 jak z orłem i reszką  
 chodząca po świecie moneta  
 jak upadnie,  
 tak leży.

**Nie dokończony rękopis** zawiera prawie 300 utworów z 24 tomów poetyckich Tadeusza Śliwiaka wydanych między 1954 a 1989 rokiem, uzupełnionych kilkoma wierszami opublikowanymi tylko w prasie lub niepublikowanymi wcześniej w ogóle. Najwięcej autor **Niebieskiego młyna** wydawał na przełomie lat 60. i 70. Był już wtedy poetą znanym i uznanym. Miał za sobą edycję **Poematu o miejskiej rzeźni** (1965), który to utwór potraktować można jako rozliczenie autora z okresem okupacji i doświadczeniami wojennymi. A te były szczególne. Dobrze się stało, że poezja Tadeusza Śliwiaka, za sprawą wyboru dokonanego przez Rafała Watrowskiego i edycji Zyska i S-ki, wróciła na półki księgarskie.

Adam LEWANDOWSKI

Foto. archiwum

Wykorzystano tekst Krzysztofa Masłonia *Niedokończony rękopis*.

Song o młodości  
 Ona jest wśród kamieni  
 rwącym światłem strumyka  
 wiewiórkami po drzewach  
 po gałęziach pomyka

Ona iskrą w kamieniu  
 ona mlekiem w orzeszku  
 ona świata ciekawa  
 jak miedziany grosz w mieszk

Ona kwiatem we włosach  
 octem w jabłkach jest pierwszym  
 gorzką pianą na piwie  
 w świata gwarnej oberży

Buntem jest nie spełnionym  
 co na serce umiera  
 ona tylko to daje  
 co innemu zabiera



# Edukacja - droga przez życie

**Franciszek Grajewski - wspomina Śrem jako autor artykułów w Gazecie Śremskiej. Dziś odpowiada na pytania Adama Kaszuby.**

## Jak Pan znalazł się w Śremie?

Urodziłem się w Dolsku 5 listopada 1921 roku. Dwa miesiące później wraz z rodzicami i rodzeństwem przeprowadziłem się do Śremu, z którym związany jestem do dnia dzisiejszego. Zamieszkaliśmy w budynku w pobliżu dzisiejszej siedziby sądu.

## Czy mógłby Pan w kilku słowach opowiedzieć czytelnikom "Gazety Śremskiej" o swojej rodzinie?

Ojciec był monterem pocztowym. Mama zajmowała się opieką nad domem rodzinnym oraz wychowaniem dzieci. Było nas razem siedmioro. Oprócz mnie, było jeszcze dwóch braci oraz cztery siostry. Chciałbym tutaj wspomnieć dwóch starszych braci: Józefa oraz Stanisława. Starszy z nich urodził się w 1912. Po egzaminie czeladniczym na ślusarza został listonoszem, najpierw w Manieczkach, potem w Żabnie. Natomiast Stanisław pracował przed wojną w dużej kancelarii adwokacko-notarialnej, u znanego wszystkim mieszkańcom Śremu adwokata Mierzejewskiego.

## Jak Pan wspomina swoje dzieciństwo, które przypada na lata trzydzieste i czterdzieste XX wieku?

Dzieciństwo moje podobne było do dzisiejszego. Życie toczyło się między szkołą a domem rodzinnym, przepłatane pierwszą pracą.

## Czy mógłby Pan przybliżyć, zwłaszcza młodszemu czytelnikom Gazety Śremskiej swoje lata szkolne?

W 1928 roku rozpocząłem naukę w szkole powszechnej, w której kierownikiem był Tytus Janecki. Natomiast po rozdzieleniu szkoły, kierownikiem nowej placówki została Maria Josse. Wśród grona pedagogicznego było kilku profesorów, którzy swą postawą kształtowali w młodzieży cenne cechy. Chciałbym tutaj wspomnieć kilku z nich. Postacią pierwszoplanową była z pewnością Wanda Gumułkowska, nauczycielka języka polskiego, która słynęła z tego, że często na

swych lekcjach komentowała życia szkolne, zwłaszcza jego aspekt moralny. Nauczycielem prawdziwego życia był z pewnością Zygmunt Stochay, który uczył nas matematyki i fizyki. Jako zapalony turysta, często opowiadał nam o swych podróżach, które były bardzo kształtujące, zwłaszcza dla młodych ludzi. Inni nauczyciele, mający wpływ na nasze wychowanie to m.in. Stanisław Jurga oraz kierownik szkoły Janecki. Cechą istotną dla tamtej szkoły był z pewnością inny układ przedmiotów oraz czas nauki. Różnice widoczne są zwłaszcza w tej drugiej kwestii. Czas nauki był dłuższy, ponieważ znacznie krócej odpoczywaliśmy. Były krótsze wakacje letnie, i nikt z nas nie słyszał o tak popularnych dzisiaj wakacjach zimowych. Życie szkoły zakłócało było licznymi akademiami, które to pozwalały nam złapać odrobiny luzu. Akademie były organizowane z różnych okazji, np. z okazji imienin marszałka Józefa Piłsudskiego, odzyskania przez Polskę niepodległości itp. Ja jako uczeń brałem w tych akademiach czynny udział recytując wiersze. Tak minął czas szkoły powszechnej.

## Czy z czasów szkolnych pamięta Pan jakąś anegdotę?

Oczywiście. Było ich bardzo wiele. Pamiętam, że nasza polonistka umiała na pamięć całego "Pana Tadeusza", i w każdej dogodnej chwili cytowała nam któryś fragment tego dzieła. Dlatego też, postanowiłem sam nauczyć się na pamięć "Ojca zadżumionych". Dumni wyrecytowałem przed panią profesor dzieło, udowadniając, że można się nauczyć takiego dzieła na pamięć. Niestety, tak szybko jak się nauczyłem, tak szybko zapomniałem.

## Szkoła powszechna to początek edukacji każdego ucznia w okresie międzywojennym?

Tak, ale dla wielu uczniów szkoły powszechnej ta edukacja była niemożliwa - przede wszystkim ze względu na wysokie czesne. Będąc uczniem zdolnym, miałem możliwość pójścia do gimnazjum, jednakże



skorzystałem z tej możliwości. Zdawałem sobie sprawę, że będzie to ogromny wydatek dla moich rodziców, mimo obietnicy złożonej przez dyrektora Janeckiego, który powiedział, że tak długo jak on będzie w tej szkole, tak długo ja nie będę płacił czesnego.

### **Dlatego też wybrał Pan inną, dostępną drogę dalszej edukacji?**

Tak. Rozpocząłem naukę w szkole dla rzemieślników, od razu od klasy drugiej. Znalazłem się w grupie zawodowej, która wg ówczesnego nazewnictwa "miała kontakt z klientem". W tym też czasie podjąłem pierwszą pracę - jako posłaniec w firmie Franciszka Krania.

### **Jak wyglądała nauka w tej szkole?**

Była to szkoła ucząca młodych ludzi zawodu. Zajęcia odbywały się tylko kilka dni w tygodniu, tak by każdy z nas mógł pracować. Prowadzona była specjalna lista obecności wraz z legitymacją, która pokazywała naszą frekwencję podczas zajęć lekcyjnych. Na zakończenie szkoły przeprowadzany był egzamin.

Ze względu na dobre wyniki w nauce, byłem z tego egzaminu zwolniony. Otrzymałem także nagrodę książkową, która niestety zaginęła podczas wojny.

### **Nastał czas okupacji. Czy w tym czasie kontynuował Pan naukę?**

Niestety nie. Do szkoły wróciłem dopiero po wojnie. Rozpocząłem kurs maturalny zorganizowany przez Henryka Ogonowskiego. Nauka odbywała się w systemie: cztery klasy gimnazjum i dwie liceum. Naukę rozpoczynałem od trzeciej klasy. Należy jednak wspomnieć, że pierwsze klasy trwały po pół roku. Dlatego już po roku była tzw. mała matura, która była egzaminem bardzo ciężkim, o czym świadczy jego niska zdawalność. Przez pierwsze pół roku, raz na dwa tygodnie mieliśmy nauczyciela dr Mnielżyńskim katechezę. W 1949r. złoży-

łem egzamin maturalny. Zdawało nas 10 i tylko jeden z kolegów tego egzaminu nie zdał.

### **Jak wyglądał egzamin maturalny zaraz po wojnie?**

Do matury podchodziliśmy w marcu. Zdawaliśmy wszystkie uczone do tej pory przedmioty za wyjątkiem śpiewu oraz gimnastyki. Muszę wspomnieć, że obok

przedmiotów takich jak język polski czy matematyka były także takie, o których dzisiejsza młodzież nawet nie słyszała np. propedeutyka filozofii, nauka o Polsce i świecie współczesnym, propedeutyka nauk społeczno - gospodarczych i inne. Egzamin trwał kilka dni. Podzielono nas na dwójki. Jedna para zdawała od rana wszystkie przedmioty, a po południu kolejna dwójka.

**Po maturze rozpoczął Pan karierę zawodową, ale nie zapomniał o podnoszeniu swych kwalifikacji. Czy może Pan przybliżyć swą dalszą przygodę z nauką?**

Oczywiście. W 1956r.

przedsiębiorstwa otrzymały zgodę na wysyłanie swych pracowników na studia. Skorzystałem z tej szansy i rozpocząłem naukę na Akademii Ekonomicznej w systemie zaocznym. Zajęcia odbywały się dwa razy w roku na dwutygodniowych zjazdach. Zajęcia trwały od 8 do 21 z jedną półtoragodzinną przerwą na obiad. W tym systemie po trzech latach nauki wybieraliśmy specjalizację. Natomiast po 11 semestrach mieliśmy absolutorium, które w moim przypadku odbyło się w marcu 1962 r. sześć miesięcy później, 10 czerwca 1962 r. broniłem pracę magisterską.

### **Czy studia to ostatni etap Pana edukacji?**

Nie. Ponieważ w czasie całego okresu pracy zawodowej uczestniczyłem w licznych kursach oraz studiach podyplomowych, które podnosiły moje kwalifikacje





jako pracownika księgowości. Najważniejsze z nich to: uzyskanie uprawnień dyplomowanego biegłego księgowego oraz ukończenie Studium Podyplomowego Finansów i Rachunkowości Przedsiębiorstw Przemysłowych.

### **Ważnym etapem pańskiego życia była szkoła. Jak potoczyła się pańska kariera zawodowa?**

Jak już wspominałem, jeszcze w czasie szkoły - w okresie międzywojennym, pracowałem dorywczo. Podobnie było w czasie okupacji. Najpierw przez kilka miesięcy 1940 roku byłem pracownikiem rolnym w majątku Jaskowowie. Natomiast od 1942 r. pracowałem jako goniec w młynie. Praca moja zaczynała się o 8 a kończyła o 18 z dwugodzinną przerwą obiadową, między 13 a 15. Pomimo braków w języku musiałem sobie radzić, zajmując się przynoszeniem i roznoszeniem korespondencji, prostymi pracami biurowymi, a później także listą płac. Kilka miesięcy później rozpocząłem pracę u Malinowskiego. Był to bardzo ciężki okres w moim życiu. Pracowaliśmy od 6 do 18 z przerwą półtoragodzinną na obiad. Zakład był bardzo duży. Zatrudniał około 300 osób. Podobnie jak w młynie prowadziłem listę płac oraz inne sprawy księgowe. Znaczna liczba pracowników oraz różne ich kategorie, począwszy od Niemców, a skończywszy na zwykłych pracownikach polskich. Powodowało to konieczność stosowania oddzielnych rodzajów wynagrodzeń i potrąceń od nich.

### **Okres wojny i okupacji to trudny czas dla wielu Śremian. Pańskie wspomnienia publikowane na łamach "Gazety Śremskiej" przybliżyły wielu czytelnikom realia okupacji. Czy mógłby Pan przybliżyć życie codzienne Śremu w tym czasie?**

Wspomnienia moje, które ukazały się w Gazecie Śremskiej stanowią pewną syntezę historii miasta oraz jego obywateli. Chciałbym tylko dodać, że w czasie wojny niemal wszyscy mężczyźni pracowali w niedzielę. Byliśmy angażowani do zajęć przy kopaniu ziemi, rowów, rąbaniu lodu zimą oraz wielu innych. Zajęcie mieliśmy przez cały dzień z przerwą na obiad, który przywoziły niemieckie kobiety. Po pracy otrzymywaliśmy drobne wynagrodzenie w wysokości 2 marek. Co jest bardzo ciekawe, Niemcy wypłacali nam tę dniówkę także w momencie, kiedy było już wiadomo, że front coraz bardziej zbliża się do Śremu. Obok pracy toczyło się normalne życie przerywane łapankami, podczas których wywożono wielu mieszkańców na roboty w głąb Niemiec. W pierwszych miesiącach okupacji unik-

nałem wysyłki do Rzeszy. Jeszcze jak był otwarty dla ludności kościół farny, przyszedłem na mszę. Podczas jej trwania, Niemcy otoczyli kościół i legitymowali wszystkich opuszczających świątynię. Ci którzy nie mieli dokumentów, byli ładowani do ciężarówki. Ja też ich nie miałem, ale rozpoznał mnie z-ca dyrektora w młynie Muslewskiego - esesman i kazał puścić do domu. Dzięki jego wstawiennictwu ominęły mnie nieprzyjemności.

### **Jak potoczyła się Pana kariera po zakończeniu wojny?**

Krótko po wyzwoleniu Śremu władze ogłosiły zbierkę mężczyzn w celu utworzenia Milicji Obywatelskiej. Uczestniczyłem w niej, i jako umiejący pisać na maszynie nie znalazłem się w kancelarii. Ze względu na chęć dalszej edukacji oraz na istotne zmiany jakie zaszły w pracy MO opuściłem jej szeregi. Związałem się ponownie z zakładami Malinowskiego, które przechodziły różne zmiany, stając się ostatecznie zakładem podległym HCP.

### **Z Odlewnią był Pan związany kilkanaście lat. Jak potoczyła się dalsza Pana kariera?**

Praca była bardzo ciężka, związana z ogromną odpowiedzialnością. Pewną trudnością były częste zmiany. W tym czasie zakłady Malinowskiego podległy były m.in. Poznaniowi, Bydgoszczy, Katowicom, by ponownie wrócić pod zarząd Poznania. W latach 1966-69 byłem głównym księgowym na budowie Odlewni HCP czego nie wspominam z przyjemnością. Pod koniec lat sześćdziesiątych przeniósłem się do Państwowego Ośrodka Maszynowego, stanowisko z-cy dyrektora ds. ekonomicznych. Kilka lat później - w związku z ograniczeniem zatrudnienia zostałem głównym księgowym. Moim głównym osiągnięciem w tym zakładzie, oczywiście obok prowadzenia ksiąg firmy, była mechanizacja biura polegająca na wprowadzeniu sumatorów oraz kalkulatorów i maszyn księgujących. Z POM-em związany byłem do końca mej aktywności zawodowej.

### **Praca nie jest jedyną Pana pasją?**

Przez cały okres powojenny udzielałem się społecznie m.in. organizując sekcję szachową oraz przejąłem od pana Rochowskiego komendę nad Obroną Cywilną w POM-ie. Obok tego dzieliłem się swoimi doświadczeniami z młodszymi kolegami przez prowadzenie kursów ekonomicznych. Obecnie chętnie sięgam do czytania książek o różnej tematyce, prasy oraz z ogromną uwagą śledzę poczynania moich dzieci i wnuków.

Foto: archiwum



# Fotografie, książki i ciasteczka

Mam właśnie przed sobą album fotograficzny przedstawiający Bieszczady. Zdjęcia autorstwa Tadeusza Budzińskiego pogrupowane są według porządku pór roku: wiosna, lato, jesień, zima. Książkę otworzyłem właśnie na jesieni. A jakże...? Zbocza gór pokryte wyschniętą trawą – piękne jesienne połoniny: żółcie, szarości, mgły wypełniające doliny i parowy, drewniane cerkwie (np. ta w Czereteżu), szron... To nastraja jakoś sennie, refleksyjnie. Jeszcze chwila, a na dworze będzie podobnie zimno jak na tych fotografiach.

A nie dalej jak dziś na lekcjach omawiałem z młodzieżą "Chłopów" Reymonta. Program nauczania języka polskiego przewiduje omówienie co najmniej pierwszego tomu. Jęgo tytuł? A jakże - "Jesień"...

Wcisną się ta jesień, między tylko może. Nawet przez drzwi i okna - ze swoją wilgocią i chłodem. Jest więc nastój i okazja ku temu, żeby przysłuchać się nieco poezji, w szczególności poezji. Nie tak dawno wpadł mi ręce tomik wierszy Joanny Jakubik - rodowitej śremianki (nie wiem, gdzie mieszka teraz). Tytuł zbioru: "Zaśnione widzenie", Poznań 2002. Sponsorzy to na-

sze śremskie firmy z Zarządem Miejskim i Starostwem Powiatowym na czele. I dedykacja: "Państwu [tu: nazwisko znajomych] dziękuję za: obecność, wsparcie, rozmowy, uśmiechy i... CIASTECZKA." Dalej - wiersze, całkiem niezłe, wartościowe, nieprzeładowane metaforami (co zdarza się młodym poetom). Mnie bardzo spodobał się szczególnie ten zatytułowany "Sprzątaczką":

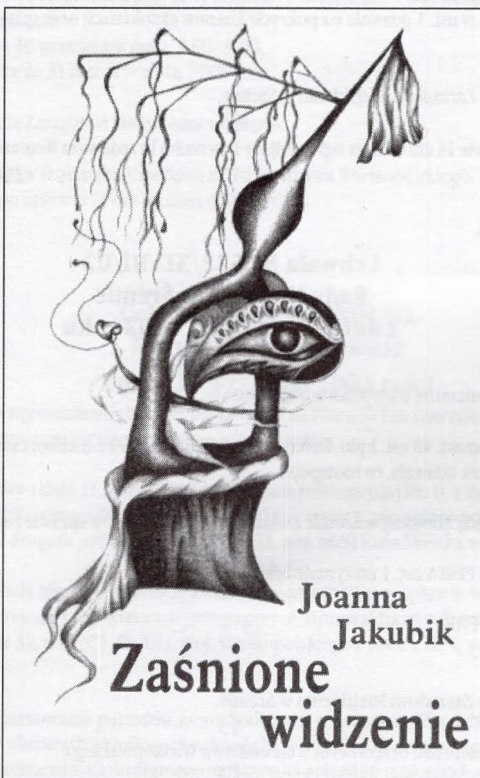
Płatny Kopciuszek  
otwieram bal  
symfonią zgrzytów.  
Ożywiam zamek  
kluczem spod wycieraczki.

Pantofelki nakładam  
zamkniętą między okładkami  
dachu i podłogi baśni.  
Różdżką miotły przemieniam  
okruch w królewskie jadlo.

Skarcona okiem lustra  
pęka niewykłość.

Inne teksty z tego poetyckiego tomiku są równie udane. Nie, nie będę ich tutaj analizować. Jest przecież jesień. Przy najmniej o tej porze roku pozwólmy poezji trochę pożyć. A swoją drogą - też schrupnąłbym kilka ciasteczek (w ramach gromadzenia tłuszczu na zimę...).

Andrzej TOMASZEWSKI



Joanna  
Jakubik  
**Zaśnione  
widzenie**

szereż mi ręce tomik wierszy Joanny Jakubik - rodowitej śremianki (nie wiem, gdzie mieszka teraz). Tytuł zbioru: "Zaśnione widzenie", Poznań 2002. Sponsorzy to na-

najmniej o tej porze roku pozwólmy poezji trochę pożyć. A swoją drogą - też schrupnąłbym kilka ciasteczek (w ramach gromadzenia tłuszczu na zimę...).





**Uchwała Nr 520/XLVIII/02  
Rady Miejskiej w Śremie  
z dnia 27 września 2002 roku**

w sprawie: ustalenia stawki czynszu regulowanego za lokale mieszkalne w budynku przy ulicy Kopernika 13 w Śremie, stanowiącego własność Śremskiego TBS Spółki z o.o.

Na podstawie art. 28 ust. 1 ustawy z dnia 26 października 1995 r. o niektórych formach popierania budownictwa mieszkaniowego (Dz. U. z 2000 r. Nr 98, poz. 1070 ze zmianami) Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

**§ 1**

Dla budynku mieszkalnego przy ul. Kopernika 13 w Śremie stanowiącego własność Śremskiego TBS Sp. z o.o. ustala się stawkę czynszu regulowanego w wysokości 6,86 zł/m<sup>2</sup>.

2. Stawka czynszu, o której mowa w ust. 1 pozwala na pokrycie kosztów eksploatacji oraz spłatę kredytu zaciągniętego na budowę ww. budynku mieszkalnego.

**§ 2**

Wykonanie uchwały powierza się Zarządowi Miejskiemu w Śremie.

**§ 3**

Uchwała wchodzi w życie po upływie 14 dni od dnia ogłoszenia w Dzienniku Urzędowym Województwa Wielkopolskiego.

**PRZEWODNICZĄCY RADY**  
**Bolesław Wośkowiak**

**Uchwała Nr 522/XLVIII/02  
Rady Miejskiej w Śremie  
z dnia 27 września 2002 roku**

o zmianie uchwały w sprawie regulaminu wysypiska w Mateuszewie.

Na podstawie art. 7 ust. 1 pkt 3 oraz art. 40 ust. 2 pkt 4 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (Dz. U. z 2001 r. Nr 142, poz. 1591 ze zm.) Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

**§ 1**

W uchwale Nr 317/XXXVIII/97 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 5 września 1997 r. w sprawie regulaminu wysypiska w Mateuszewie wprowadza się następującą zmianę:

w załączniku - REGULAMIN WYSYPISKA ust. 1 otrzymuje brzmienie:

"1. Wysypisko czynne jest:

- w dni robocze w godz. 700 - 1700,
- w soboty w godz. 700 - 1200."

**§ 2**

Wykonanie uchwały powierza się Zarządowi Miejskiemu w Śremie.

**§ 3**

Uchwała podlega ogłoszeniu w Dzienniku Urzędowym Województwa Wielkopolskiego.

**§ 4**

Uchwała wchodzi w życie po upływie 14 dni od dnia ogłoszenia.

**PRZEWODNICZĄCY RADY**  
**Bolesław Wośkowiak**



**Uchwała Nr 523/XLVIII/02  
Rady Miejskiej w Śremie  
z dnia 27 września 2002 roku**

o zmianie uchwały w sprawie zasad i trybu korzystania z gminnych targowisk.

Na podstawie art. 40 ust. 2 pkt 4 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (Dz. U. z 2001 r. Nr 142, poz. 1591 ze zm.)

Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

**§ 1**

W uchwale Nr 455/XI/01 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 14 grudnia 2001 r. w sprawie zasad i trybu korzystania z gminnych targowisk wprowadza się następujące zmiany:

1) w załączniku Nr 1 - Regulamin Targowiska przy ulicy Grunwaldzkiej w Śremie:

a) ust. 1 otrzymuje brzmienie:

"1. Targowisko składa się z trzech oznakowanych sektorów:

sektor A - dla sprzedających artykuły przemysłowe,

sektor B - dla sprzedających artykuły spożywcze,

sektor C - dla sprzedających płody rolne.

W zależności od potrzeb istnieje możliwość zmian granic sektorów w obszarze dziesięciu sąsiadujących stanowisk. Decyzję o zmianie granic sektorów podejmuje zarządca targowiska",

b) w ust. 8 dodaje się zdanie w brzmieniu:

"Zarezerwowane miejsce należy zająć nie później, niż do końca drugiej godziny po otwarciu targowiska."

2) w załączniku Nr 2 - Regulamin Targowiska przy ulicy Szkolnej w Śremie ust. 1 otrzymuje brzmienie:

"1. Targowisko jest czynne codziennie:

a) w okresie od 1 kwietnia do 30 września w godz. 5.00 - 8.00,

b) w okresie od 1 października do 31 marca w godz. 7.00 - 9.00."

**§ 2**

Wykonanie uchwały powierza się Zarządowi Miejskiemu w Śremie.

**§ 3**

1. Uchwała podlega ogłoszeniu w Dzienniku Urzędowym Województwa Wielkopolskiego.

2. Uchwała wchodzi w życie po upływie 14 dni od dnia ogłoszenia.

**PRZEWODNICZĄCY RADY  
Bolesław Wośkowiak**

**Uchwała Nr 524/XLVIII/02  
Rady Miejskiej w Śremie  
z dnia 27 września 2002 roku**

zmieniająca uchwałę w sprawie wprowadzenia opłat za parkowanie na Placu 20 Października w Śremie i w rejonie targowiska miejskiego przy ul. Grunwaldzkiej w Śremie oraz ustalenia sposobu ich pobierania.

Na podstawie art. 13 ust. 4 ustawy z dnia 21 marca 1985 r. o drogach publicznych (Dz. U. z 2000 r. Nr 71, poz. 838 z późn. zm.) i § 3 ust. 1, § 4 i § 5 rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 27 czerwca 2000 r. w sprawie szczegółowych zasad wprowadzania opłat za parkowanie pojazdów samochodowych na drogach publicznych (Dz. U. Nr 51, poz. 608) Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

**§ 1**

W uchwale Nr 380/XXXIII/01 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 30 marca 2001 r. w sprawie wprowadzenia opłat za parkowanie na Placu 20 Października w Śremie i w rejonie targowiska miejskiego przy ul. Grunwaldzkiej w Śremie oraz ustalenia sposobu ich pobierania (Dz. Urz. Woj. Wielkopolskiego Nr 39, poz. 671, Dz. Urz. Woj. Wielkopolskiego z 2002 r. Nr 4, poz. 187 i Nr 99, poz. 2476) wprowadza się następujące zmiany:

1) § 1 otrzymuje brzmienie:

"§ 1. Wprowadza się opłaty za parkowanie pojazdów samochodowych w Śremie na Placu 20 Października i w rejonie targowiska miejskiego przy ul. Grunwaldzkiej na obszarach określonych uchwałą Nr 448/147/01 Zarządu Miejskiego w Śremie z dnia 7 marca 2001 r. w sprawie określenia obszarów przeznaczonych do płatnego parkowania pojazdów samochodowych zmienioną uchwałą Nr 697/219/XLVIII/01 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 19 czerwca 2002 r. od poniedziałku do piątku w godz. 8.00 - 15.00 na parkingu między ul. Grunwaldzką a ul. Wolności, ul. Grunwaldzka 8b i 8c w Śremie i w godz. 8.00 - 18.00 na pozostałych parkingach oraz w soboty w godz. 8.00 - 14.00 na wszystkich parkingach określonych ww. uchwałą, z wyjątkiem dni świątecznych - ustawowo "wolnych" od pracy oraz w godzinach pracy Zarządu Miejskiego w Śremie, na terenie przed Ratuszem".

2) § 2 otrzymuje brzmienie:

"§ 2. Wysokość opłat za parkowanie pojazdów samochodowych wynosi:



- 1) opłata jednorazowa za pierwsze pół godziny parkowania 1,20 zł,
  - 2) za każdą następną godzinę opłata 1,50 zł
  - 3) abonament tygodniowy za parkowanie w godzinach obowiązywania płatnego postoju - 18 zł,
  - 4) abonament miesięczny za parkowanie w godzinach obowiązywania płatnego postoju - 70 zł,
  - 5) abonament miesięczny dla mieszkańców danego rejonu objętego płatnym postojem - 35 zł."
2. Czas parkowania jest obliczany proporcjonalnie do wniesionej opłaty według stawek określonych w ust. 1 pkt 1 i 2.  
Minimalna wniesiona opłata za parkowanie wynosi 1,20 zł."

§ 2

Wykonanie uchwały powierza się Zarządowi Miejskiemu w Śremie.

§ 3

Uchwała podlega ogłoszeniu w Dzienniku Urzędowym Województwa Wielkopolskiego.

§ 4

Uchwała wchodzi w życie z dniem 4 listopada 2002 r.

**PRZEWODNICZĄCY RADY**

*Bolesław Wośkowiak*

### **Uchwała Nr 525/XLVIII/02 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 27 września 2002 r.**

w sprawie nadania nazw ulicom w Śremie.

Na podstawie art. 18 ust. 2 pkt 13 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (Dz. U. z 2001 r. Nr 142, poz. 1591 z późn. zm.) Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

§ 1

1. Nadaje się nazwy ulicom w Śremie:
  - a) drodze dojazdowej do Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego w Śremie - ulica Jeziorna,
  - b) ulicy biegnącej od ulicy Gostyńskiej do ulicy Jana Kilińskiego - ulica Stanisława Staszica.
2. Położenie ww. ulic opisano w załączniku nr 1.
3. Przebieg przedmiotowych ulic przedstawiono na mapie stanowiącej załącznik nr 2.
4. Biografia Stanisława Staszica stanowi załącznik nr 3.

§ 2

Uchwała podlega podaniu do publicznej wiadomości na tablicach informacyjnych Urzędu Miejskiego w Śremie oraz w lokalnej prasie.

§ 3

Wykonanie uchwały powierza się Zarządowi Miejskiemu w Śremie.

§ 4

Uchwała wchodzi w życie z dniem podjęcia.

**PRZEWODNICZĄCY RADY**

*Bolesław Wośkowiak*

### **Uchwała Nr 526/XLVIII/02 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 27 września 2002 roku**

w sprawie szczegółowych zasad udzielania dotacji z budżetu gminy Śrem dla publicznych przedszkoli prowadzonych przez osoby fizyczne lub osoby prawne nie będące jednostkami samorządu terytorialnego.

Na podstawie art. 80 ust. 4 ustawy z dnia 7 września 1991 r. o systemie oświaty (Dz. U. z 1996 r. Nr 67, poz. 329 z późn. zm.) uchwała, co następuje:

§ 1

Dotację z budżetu gminy Śrem na prowadzenie przedszkoli publicznych przyznaje się osobom fizycznym i prawnym, posiadającym stosowne zezwolenie, na podstawie wniosku złożonego do Pionu Edukacji i Usług Społecznych Urzędu Miejskiego w Śremie.



## § 2

1. Wniosek o przyznanie dotacji powinien zawierać:

- 1) nazwę i siedzibę przedszkola,
- 2) nazwę organu prowadzącego przedszkole i jego siedzibę,
- 3) nr i datę zezwolenia właściwego organu na prowadzenie przedszkola,
- 4) liczbę uczniów uczęszczających do przedszkola w roku budżetowym, którego wniosek dotyczy,
- 5) zobowiązanie do informowania organu dotującego o każdorazowej zmianie liczby uczniów w przedszkolu,
- 6) numer konta bankowego, na który będzie przekazywana dotacja.

2. Wniosek powinien być złożony w Urzędzie Miejskim w Śremie do 30 września roku poprzedzającego rok udzielania dotacji.

## § 3

1. Dotacje przekazywane będą na podstawie umów zawartych pomiędzy gminą Śrem a prowadzącym przedszkole.

2. Umowa, o której mowa w ust. 1 powinna określać:

- 1) oznaczenie stron umowy,
- 2) określenie czasu, na jaki umowa zostaje zawarta,
- 3) wysokość dotacji należnej podmiotowi wykonującemu zadanie oraz warunki i terminy jej otrzymania,
- 4) tryb kontroli wykonywanego zadania,
- 5) zobowiązanie podmiotu do prowadzenia ewidencji liczby uczniów,
- 6) sposób rozliczania udzielonej dotacji i zasady zwrotu nie wykorzystanej dotacji.

3. Umowę zawiera się na okres roku budżetowego.

4. Prawa i obowiązki stron umowy nie mogą być przenoszone na osoby trzecie.

## § 4

Wysokość dotacji określa się jako iloczyn średniego wydatku przewidzianego na jednego ucznia w przedszkolach prowadzonych przez gminę i liczny uczniów przedszkola ustalonej na podstawie ewidencji uczniów.

## § 5

Wnioski o przyznanie dotacji na 2003 rok można składać do 30 października 2002 r.

## § 6

Wykonanie uchwały powierza się Zarządowi Miejskiemu w Śremie.

## § 7

Uchwała wchodzi w życie po upływie 14 dni od ogłoszenia w Dzienniku Urzędowym Województwa Wielkopolskiego.

**PRZEWODNICZĄCY RADY**  
Bolesław Wośkowiak

## Uchwała Nr 528/XLVIII/02 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 27 września 2002 roku

zmieniająca uchwałę w sprawie uchwalenia budżetu gminy Śrem na 2002 r.

Na podstawie art. 18 ust. 2 pkt 4 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (Dz. U. z 2001 r. Nr 142, poz. 1591 z późn. zm.) oraz art. 124 ustawy z dnia 26 listopada 1998 roku o finansach publicznych (Dz. U. Nr 155, poz. 1014 z późn. zm.) Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

## § 1

Określić szczegółowych zmian rzeczowych i kwotowych w uchwale budżetowej Gminy Śrem na 2002 rok.)

## § 2

Wykonanie uchwały powierza się Zarządowi Miejskiemu w Śremie.

## § 3

Uchwała wchodzi w życie z dniem podjęcia.

## § 4

Uchwała podlega opublikowaniu.

**PRZEWODNICZĄCY RADY**  
Bolesław Wośkowiak

Tekst załączniki i uzasa dnienia do uchwał XLVIII Sesji Rady Miejskiej z dnia 27 września 2002 roku do wglądu w Urzędzie Miejskiego



# U Muślewskiego do pożaru młyna

Od panny Józefy Kirschke, sekretarki w Młynie Muślewskiego dowiedziałem się, że potrzebny jest goniec. Firma ta nazywała się wówczas Max Buschner Muhlenwerke Schrimm. Zgłosiłem się tam 21 marca 1941 roku.

Przyjął mnie dyrektor Waldemar Ullrich. Zaczął od pytań o imię i nazwisko, datę urodzenia i adres. Moja znajomość języka niemieckiego była jeszcze niewielka. Kazał mi napisać: Śrem, dnia i aktualną datę. I tu nastąpiła wpadka. Zamiast słowa "den" napisałem "dem", to tak jakbym po polsku zamiast "tego" napisał "temu". Ullrich parsknął śmiechem, ale mnie przyjął. Z pismem podpisanym przez Ullricha poszedłem do Arbeitsamt (Urzędu Pracy). Tam urządzono mi awanturę, dlatego po ukończeniu pracy na wsi w listopadzie 1940 roku nie zgłosiłem się po nowy przydział pracy. Dobrze, że skończyło się na wyzwiskach i krzykach, już niejeden klient wychodził z tego urzędu z guzami i siniakami. Ja nie mogłem się przyznać, że nie meldowałem się wcześniej z obawy przed wywiezieniem na przymusowe roboty.

W biurze pracowali: dyrektor, kierownik techniczny Gustaw Beilstein - volksdeutsch z Dobrzejina koło Żychlina, sekretarka Józefa Kirschke oraz Kazimierz Garbarczyk zajmujący się listą płac i innymi sprawami biurowymi. Z tego pokoju przez wewnętrzny przedpokój zawierający mały piec c.o., szatnię i umywalkę, przechodziło się do kasy, gdzie pracowała Stefania Piasecka i gdzie było moje miejsce pracy. Wyjście na zewnątrz było tylko przez kasę.

Krótki czas, może dwa tygodnie, pracował jeszcze pan Ciszak, stosunkowo młody, zadbany człowiek o świetnej znajomości niemieckiego, przedwojenny pełnomocnik Muślewskiego. Później wyjechał do Generalnej Guberni.

Na piętrze, w osobnym pokoju pracował księgowy Adam Hildebrandt, późniejszy prezes Spółdzielni "Małto", przechrzczonej na "Warta".

W produkcji pracował tylko jeden Niemiec, starszy młynarz Paul Mitschke. Po polsku mówił niechętnie i źle, jakąś łamaną gwarą śląską. Był złośliwy. Lubił przeklinać i wyzywać. Kiedy, mimo grubych okularów, dostał powołanie do wojska cieszył się mówiąc swoją gwara: "Ich werde wojakem być". Ale wtedy jeszcze Niemcy szli do przodu.

Jego zaufanym był Szubert. Pamiętam jeszcze takich ludzi jak Świdurski, Szablewski, Dudziński, Sikorski, Antoniewicz. Mechanikiem remontowym był Maliński, który w wolnym czasie zajmował się ryflowaniem, czyli ostrzeniem wałców młyńskich. Ponadto było trzech względnie, czterech braci Kramerów, z których dwóch było palaczami maszynistami i obsługiwało maszyny parowe. Trzeci brat po kilku miesiącach podpisał Volkslistę. Pracował przy workowaniu mąki i ładowaniu na wagony. Po wojnie już go nie widziałem.

Ullrich wprowadził dziwny, jak na czas wojny, system pracy. Pracowaliśmy od 8.00 do 13.00 i od 15.00 do 18.00. Nie wolno było pracować dwie minuty dłużej. Gdy on wstawał od biurka i zaczął się ubierać, musieliśmy natychmiast robić to samo, gdyż usłyszeliśmy zaraz jedno z jego powiedzonek: "Chciecie tu nocować" lub "Leniwi są wieczorem pilni". Tłumaczył nam, że musimy być dyspozycyjni, to znaczy nawet gdy jest dużo pracy, musi być bez godzin nadliczbowych zrobiona. Gdy pracy jest mało, nie mamy udawać, że pracujemy. Możemy na przykład pisać list prywatny lub czytać gazetę, byle siedzieć na miejscu. Niezłe warunki: osiem godzin pracy, gdy na przykład u Malinowskiego prac



trwała 10 i pół godziny, czasem również kilka godzin w niedzielę. Szkoda, że tylko rok taką miałem pracę.

Moja praca polegała na roznoszeniu korespondencji, załatwianiu spraw na pocztę, w banku, policji (przepustki nocne i na rower), na kolei, w urzędzie pracy, urzędzie gospodarczym (przydziały na paliwo, oleje i smary), urzędzie zaopatrzenia wojska i innych.

Praca nie byłaby zła, gdyby nie moja słaba (zwłaszcza na początku) znajomość niemieckiego. Niektórzy rozmówcy np. w banku i na kolei cierpliwie starali się mnie zrozumieć, jak i cierpliwie tłumaczyli, żebym ich zrozumiał. Jednak nie wszędzie tak było. Na policji to nie mówili, a raczej warczeli.

W pracy posługiwałem się służbowym rowerem. Pewnego dnia zatrzymał mnie oficer żandarmerii: zabrał na posterunek znajdujący się naprzeciw dzisiejszej policji. Przypomniiał, że kilkakrotnie mu się nie ukloniłem, gdy wieczorem szedł z żoną. Obowiązujące wówczas przepisy nakazywały Polakom (poza dużymi miastami np. Poznań) klaniać się wszystkim umundurowanym Niemcom. Nie wymagali tego szeregowcy i niektórzy podoficerowie. Niemiec nie musiał obowiązkowo odpowiadać na ukłon. Wyrok kar dla Polaków za sprawy przeciw Niemcom przewidywał kary więzienia do kary śmierci włącznie. Żandarm zabrał mi dokumenty i spisał protokół. Spodziewałem się najgorszego. Później wyjął z biurka "gumowe przedłożenie konstytucji" i sprawił mi solenne łanie. Bez dokumentów i roweru wróciłem do biura i zgłosiłem dyrektorowi. Zadzwoiłem na żandarmerię i potem ze śmiechem powiedział, że po odbiór ma iść Kramer, bo mnie mogłoby znowu coś zlego spotkać.

Po kilku tygodniach otrzymałem nakaz zapłaty grzywny w wysokości 10 marek plus koszty. Myślę, że Ulrich w rozmowie telefonicznej prosił go o "łagodny wymiar kary" dla mnie.

Nakaz przekazałem Ullrichowi, który polecił kasjerce (Freulein Pijazecka - bo tak wymawiał nazwisko Piasecka), by z kasy wypłaciła grzywnę. Wykazał dużą odwagę, każąc z kasy niemieckiego przedsiębiorstwa zapłacić grzywnę Polaka i to za taką "zbrodnię".

Ullrich był namiętym, a Beilstein trochę mniejszym palaczem. Do mnie należało zaopatrywanie ich w paliwo. Niemcy mogli kupować papierosy bez ograniczeń, tak w sklepie tytoniowym, jak i w restauracji dla Niemców. Polacy mieli kartki na dwa najgorsze papierosy dziennie, a gdy były trudności z tytoniem - co się często zdarzało - polskie kartki przepadały. Restauracji dla Polaków w Śremie nie było.

Ullrich na odwrocie służbowej wizytówki z tytułem Muhlendirektor pisał nie używanym dziś piśmem gotyckim prośbę o sprzedaż papierosów (nie pisał marki i ilości) i z tym szedłem do "Baleriny". Tak wszyscy nazywali starszą Niemkę, repatriowaną z Kresów Bałtyckich, właścicielkę sklepu tytoniowego. Zatrudniała ona polską sprzedawczynię pannę Schutz.

W zależności od zapasów dostawałem czasem tylko dwie paczki, a czasem dużo, dużo więcej niż potrzeba dla dwóch palaczy. Wówczas dawałem i po dwie lub więcej

paczek, a resztę zakupioną z własnych pieniędzy odwoziłem do domu, do szuflady.

Może moi Niemcy zorientowali się, że ja chomikuję papierosy, bo w dniach gdzie ani u Baleriny ani w re-





stauracjach nie było, Ullrich grzecznie mówił: "Grajewczik (tak zniekształcał moje nazwisko) proszę iść i jeszcze raz poszukać, może coś się znajdzie". Wtedy nie miałem wyboru. Musiałem naruszyć moje zapasy i dać im po paczce. Czasem ratowałem też ojca.

W młynie był jeszcze zapas białych, lnianych woreczków z kolorowym, barwnym szyldelem Muslewskiego do próbek reklamowych o pojemności 1-5 kg. Szczególni goście Ullricha otrzymywali także próbki, które musiałem przedtem starannie opakować w papier.

Raz z 5-cio kilową próbką towarzyszyłem starszemu płatnikowi (Oberzahlmeister) do Wojskowego Biura Zaopatrzenia w willi oficerskiej. Dwa lub trzy razy nadawałem także paczki wraz z koszulami do prania na adres: pani Margarete Angel, Szklarska Poręba Górna. Na ten adres wysłałem też raz przelew na 500 marek, co było miesięczną pensją Ullricha.

Przez cały okres mej pracy żaden pracownik nie otrzymał ani grama mąki.

Kolega Garbarczyk był miłośnikiem fotografii. Przed dyrektorem i Beilsteinem (ale nie przed Mitschkem) nie krył się z tym, chociaż posiadanie aparatów przez Polaków było zakazane. Zrobił im wieczorem zdjęcia na tle remontowanych urządzeń. I mnie także zdjęcie zrobił.

Młyn był w tym czasie remontowany. Wymieniano prawie wszystkie urządzenia na piętrze walcowym, a ściany na wysokości człowieka pokryto kafelkami koloru kości słoniowej. Wyżej ściany pokryto farbą olejną tegoż koloru. Na dowód tego mam fotografie wykonane przez Garbarczyka.

Przy okazji remontu zbudowano na tym piętrze kabinę, obsługiwaną przez Niemca Mitschke, z urządzeniami do chlorowania mąki. Miało to zabezpieczyć mąkę przed zbijaniem

się w grudy i zwilgoceniem podczas magazynowania i transportu w złych warunkach. Urządzenia dostarczyła firma: "AGENE - urządzenia do uszlachetniania mąki".

Muszę jeszcze dodać, że kilka miesięcy przed pożarem Garbarczyk awansował do laboratorium na piętrze, a ja przejąłem jego biurko i pracę.

Sprawa zaopatrzenia Ullricha w papierosy została przy mnie, natomiast gońcem został starszy robotnik Antoniewicz, który nie mógł już dźwigać worków w młynie.

Właściciel młyna Max Buschner był Powiatowym Mężem Zaufania w Lesznie i miał własne przedsiębiorstwo handlu zbożem i opałem w Alstädt na rzeką Helme w Turynii. Jeszcze przed pożarem młyna, o czym będzie później, wysłał tam na kilka tygodni Hildenbrandta, celem uporządkowania księgowości.

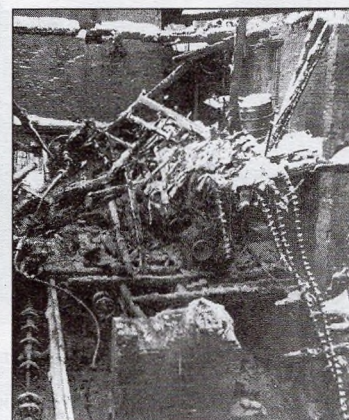
Jak się dowiedziałem od Hildenbrandta młyn kupił od państwa na kredyt. Spłata miała nastąpić ratami, po potrąceniu kosztów poniesionego remontu. Wyjątkowo korzystnie.

Buschner do Śremu jeździł rzadko, razem z żoną, własnym mercedesem. Był gruby, bysawy. Pod jedną pachą miał termos z czarną, a pod drugą pudełko cygar. Koło nóg pętał się brzozy jamnik.

Po pożarze był dwa razy, również swoim mercedesem, bez kawy, cygar i jamnika, ale w towarzystwie cywilnego gestapowca. Widocznie był aresztowany lub pod nadzorem. Samochód prowadziła młoda córka. Podczas narań, z kilkuletnim dzieckiem na kolanach, jeździła po dzisiejszej ulicy

Szerokiej lub naokoło budynku biurowego.

Po żniwach 1941 roku młyn zgromadził duże zapasy





zboża. Po uzupełnieniu silosów zboże sypano w kregielni i w kaplicy "Klasztoru". Kto robił to w kregielni nie wiem, Ullrich zabrał mnie ze sobą do "Klasztoru". Równocześnie niemiecki strażnik przyprowadził grupę więźniów - Polaków. Wśród nich był prawdopodobnie pan Gałęcki, właściciel kamienicy w Rynku, na tej ścianie co bank.

Ullrich polecił więźniom przesunąć ławki i konfesonął pod ściany, a zboże sypać na środek. Zastrzegali też sobie, żeby w najmniejszym stopniu nie uszkodzić ścian i sprzętu.

Moja praca polegała na liczeniu worków usypanego zboża.

Pożar wybuchł w wyjątkowo mroźny (do -30 stopni Celsjusza) dzień 26 stycznia 1942 roku. Gdy rano kilka minut przed ósmą przyszedłem do biura, za chwilę wpadł przerażony robotnik, zdaje się Michał Kramer, z krzykiem, że młyn się pali. Obecna już sekretarka zadzwoniła do straży pożarnej, na policję i do Ullricha. Mimo kilkakrotnych telefonów nie odezwał się. Wówczas poszedłem do mieszkania w budynku Muślewskich i Malinowskich, tuż przy policji. Pukałem i waliłem w drzwi, również bez skutku. Gdy wróciłem do biura zjawił się. Po drodze go nie minąłem.

Gdzie był w tym czasie?

Pożar wybuchł w wysokiej 5-cio piętrowej części przy silosach i urządzeniach czyszczących. Ogień szybko przenosił się drewnianymi rurami transportowymi, skąd przeszedł szybko na właściwy młyn.

Na każdym piętrze młyna były krany, hydranty i węże, ale wskutek wielkich mrozów wszystko było zamrożone.

Śremska Straż Pożarna w tych warunkach była bezradna. Dość szybko przyjechała Straż Pożarna z Poznania z lepszym sprzętem. Wykuto przerębel w Warcie i najkrótszą drogą przy pomocy gumowych węży i kilku pomp zasilających po drodze, doprowadzano wodę z Warty do młyna. Ciśnienie było tak duże, że prądownicy utrzymało czterech strażaków. To już też nie pomogło, ogień szybko pochłaniał dalsze części młyna.

Pracownicy biura musieli część akt przenieść do budynku za nasypem kolejowym, na wypadek gdyby młyn zawalił się na biuro lub ogień przeniósł. Żar od pożaru był taki, że na ulicy przy moście kolejowym palili w twarz, a plecy marzły.

Pamiętam z kilkoma innymi ludźmi miałem z drugiego piętra młyna przenieść kilkadziesiąt wózków z kasz-  
kowaniem do części workowania i transportu od strony

boczniczy i zepchać je pochylniami do podstawionych wagonów. Ogień z trzaskiem tak szybko posuwał się naprzód, że po kilku workach musieliśmy uciec i zamknąć za sobą stalowe drzwi. Takie drzwi były na każdym piętrze, co uratowało budynek przy boczniczy kolejowej.

Sprawdzono grupę więźniów, żeby od strony dzisiejszej ulicy Szerokiej wykuli otwór w grubym murze aż do silosu, aby stamtąd odzyskać choć trochę zboża. Po długiej i bardzo ciężkiej pracy wyleciało kilka ton zboża, ale cuchnącego i chyba nadającego się na paszę.

Gdzieś około godziny 1500 nie było już co ratować i straż poznańska odjechała. Pozostali jedynie śremscy strażacy - ochotnicy, bo straży zawodowej w Śremie nie było.

Kilku pracowników, którzy pracowali w nocy przed pożarem policja aresztowała. Pytano ich: "co wam ruski obiecali za podpalenie?". Po kilku dniach nie robiąc im krzywdy, wypuszczono ich. Wygląda na to, że o spowodowanie pożaru władze posadzały Buschnera, którego zatrzymano.

Po krótkim czasie padł pomysł zbudowania mniejszego, lecz nowoczesnego młyna. Przyjechał w tej sprawie specjalista dr Schneider, właściciel młynów w Lesznie. Przyjechał również z gotową dokumentacją Obe-  
ringenieur (mgr inż.) o nazwisku Kastenmueller. Z nim miałem przywarę. Kiedy wychodził musiałem mu przytrzymać ciężkie futro. On wyjął z kieszeni srebrną dwumarkówkę i chciał mi ją dać. Mimo nacisku kategorycznie odmówiłem jej odbioru. Wówczas wściekł się i zaczął wyzywać od "frechownych Polaków". Po jego odejściu Ullrich zadowolony pochwalił mnie, że utarłem nosa zarozumiałcowi.

Projekt odbudowy młyna upadł. Zaczęły się zwalnianie pracowników i prace likwidacyjne. Pracownikom biurowym Ullrich sam załatwiał nowe prace. Mnie "sprzedał" do Malinowskiego na funkcję rachmistrza wynagrodzeń. Byłem świadkiem jego rozmowy telefonicznej z Jaehnem, zarządcą fabryki Malinowskiego. Kiedy Ullrichowi powiedziałem, że nie dam rady, bo tu jest 50 pracowników, a tam 300, dał mi taką nauczkę: "Nigdy nie trzeba mówić, że się nie da rady. Należy pracę podjąć i robić wszystko, żeby się w nią wgryźć i na niej utrzymać. Jeżeli naprawdę nie można dać rady, trzeba się umiejętnie wycofać, jednak nie pozostawiając po sobie smrodu."

Później w życiu starałem się tej metody trzymać i wydaje mi się, że z powodzeniem.

Ostatecznie pod koniec kwietnia 1942 roku pożegnaliśmy się, nie bez żalu, z młynem Muślewskiego.

Franciszek GRAJEWSKI



# Czas wolny - zabawy

Miałam około trzech lat, gdy przeprowadziliśmy się ze starego mieszkania znajdującego się na ul. Poznańskiej (nazwanego przeze mnie "stary płat") do ślicznej willi na ul. Mickiewicza 25 na Starym Mieście. Nie pamiętam do tego czasu żadnych zabaw, tylko okropne podwórze tego domu oraz warsztat rzemieślniczy, do którego przyjeżdżały motocykle i nieliczne samochody do naprawy. Pamiętam jednak doskonale, gdy p. Walczakowa, sekretarka Tatusia, prowadziła Basię, moją siostrę, i mnie do naszej nowej siedziby. Podskakiwałyśmy obie z emocji i wciąż pytałyśmy, czy jeszcze daleko. No i nareszcie plot żelazny pomalowany na zielono, brama wjazdowa i furtka osadzona na kamiennym murku, no i dom - śliczna, obszerna jednopiętrowa willa o łamanym dachu z małą wieżyczką i 3-morgowy ogród tarasami schodzący do Warty. Raj, raj dla dzieci i możliwość cudownych zabaw.

Zasadniczo zabawek mieliśmy mało. Lalkę całe życie miałam tylko jedną. Bardzo ją kochałam i nazywałam Krysią na cześć mojej pierwszej przyjaciółki, mieszkającej naprzeciwko nas w willi, za którą rozciągało się podwórze (bo pp. Mielochowie mieli 120-morgowe gospodarstwo, więc z nią bawiliśmy się w restaurację). Miałymy dość dużą żeliwną kuchenkę z "fajerkami" i komplet ślicznych aluminiowych garnków. Gotowało się z knotem bawełnianym i zamaczanym w denaturacie. Oczywiście to ja gotowałam, drążąc małe kartofelki pożyczonym od kucharki specjalnym "wihajstrem", a upieczony kawałek mięsa dostawałam wspaniałomyślnie od kolejnej gospośki. Pokój był przedzielony sznurem na kuchnię, w której niepodzielnie królowałam, no i salę restauracyjną, na której przy małym dziecięcym stoliku z dwoma fotelikami wiklinowymi siedziała Basia ze swą przyjaciółką Irką Malinowską. Zabawa była pyszna, bo byłam też kelnerką i podawałam do stołu nakrytego śliczną lalczyną zastawą stołową. Na deser

tradycyjnie dawałam tort, tzn. krążek jabłka, a na nim kawałek czekolady.

Na pierwszym piętrze były trzy pokoje, ale także drzwi do olbrzymiego strychu. Tam urzędował "niedźwiedź", który wylatywał i nas gonił. Dotąd pamiętam, jak uciekałam w panicznym strachu po schodach przed niedźwiedziem, którym była Basia lub jej koleżanka.

Na strychu stały dwie skrzynie, a w nich między innymi stare firanki. To pozwoliło nam na wystawianie wzruszającego przedstawienia - "Objawienie w Lourdes". Któraś z nas od stóp do głów przykryta welonem (z firanki) stała z pobożnie złożonymi rękami na krześle - to była Matka Boska, a druga jako Bernadeta klęczała przed nią. Stare firanki umożliwiały także zabawę w ślub, bo znakomicie "udawały" strój panny młodej. Śpiewając marsz weselny Mendelssohna wchodziliśmy do kościoła, którym była otwarta szafa, i w jej wnętrzu odbywała się cała ceremonia.

Na strychu mieściła się też tzw. duża spiżarnia. Wejście było z drzwiami zamykanymi na klucz od korytarza. W spiżarni tej wysoko mieściła się belka, na której wisały wędzone szynki i różne suche kiełbasy, suszone grzyby w wianuszkach oraz w misce orzechy. Na podłodze znów blachy z plackami lub różnymi innymi ciastami. Należało do naszych sportowych wyczynów, że dostawałyśmy się z przylegającego strychu do tej spiżarni i stojąc na belce kijem wbitym na nim gwoździem wyciągałyśmy poszczególne ciastka. Najlepiej wyciągało się miękkie pączki. Mama nie mogła się nadziwić, że ciastek jest mniej niż jej się zdawało, a klucze od wszystkich szaf i schowków nosiła przecież przy sobie.

W zimie ogród dostarczał nam wielu wspaniałych możliwości. Naturalnie ochoczo były lepiące bałwany ze śniegu, oczywiście z nosem z marchwi, oczyma z węgla, ze starą miotłą w ręce i w starym kapeluszu



na głowie. Z dachu pomieszczeń gospodarczych zwały sople lodu, które się obrywały i jadło. No i sanki. Mieliśmy w ogrodzie bardzo stromą ścieżkę prowadzącą w dół, którą w zimie pędziliśmy na saneczkach. Zjeżdżało się prawie aż do furtki wychodzącej na promenadę nad Wartą. Za płotem naszego domu był wawóz zwany popularnie "gaską". Władze miejskie przed samą wojną wyrównały ten teren, powstał pyszny tor saneczkowy. W zimie do 10, 11 wieczór zjeżdżało na nim mnóstwo dzieci i młodzieży. Najwięcej korzystali z tego toru uczniowie gimnazjum i liceum, czyli tzw. "gamazoki". Będąc ostatnio w Śremie ze smutkiem zobaczyłam, że od ulicy "gaskę" zasypało i postawiono w tym miejscu dom. W Śremie była jeszcze jedna możliwość saneczkowania, tzw. klasztorna górka, koło Zakładu Ubogich, zamienionego po wojnie w Sanatorium Reumatologiczne. Było to bardzo strome zbocze, z którego nie wszyscy korzystali, ale my oczywiście do nich nie należałyśmy. Byłyśmy więc tak oswojone ze stromiznami, że gdy w roku 1932 byliśmy z Basią i Mamą pierwszy raz w Zakopanem, to bez lęku zjeżdżałyśmy ze zbocza Nosala (mieszkałyśmy w willi "Hanka" u pań Zielińskich, znajomych Mamy z Krotoszyń - na Bystrym). Basia dostała wtedy kupione w Zakopanem narty. Sama więc zjeżdżałam na saneczkach, a Basia zjeżdżała na nartach i tak to polubiła, że nie brała udziału w wycieczkach z rodzicami (bo i Ojciec dojechał do nas na kilka dni, a byli wtedy też w Zakopanem pp. Muślewscy ze Śremu oraz ks. dziekan Michalski). Pamiętam wycieczkę z nimi na Halę Gąsienicową (kolejki linowej jeszcze nie było), Gubałówkę, Halę Kondratową oraz w liczne dolinki. W kolejnych schroniskach dostawałam zawsze parówki, które uwielbiałam. Tak pokochałam wtedy góry, że jeszcze przez wiele lat sniło mi się w nocy, że jestem w moich ukochanych górach. Ta miłość do gór zaowocowała po latach moją pracą magisterską z Zakopanego i Podtatrza pod tytułem "Wpływ klimatu górskiego na rozwój drzew owocowych". Z Zakopanego przypominam sobie jeszcze wizytę wszystkich znajdujących się tam wtedy śremianków u malarza, p. Gałka, krewnego pp. Mu-

ślewskich. U tych ostatnich w jednym z pokoiów wisiał też jego obraz przedstawiający potok górski.

Basia dostała też od rodziców łyżwy, więc jeździła po zamrożonej Warcie. Zimy były wtedy prawdziwymi zimami, a Warta często skuta lodem tak mocno, że skracając sobie drogę do szkoły, zlatywałyśmy przez ogród i furtką na dół, a tam wydeptaną ścieżką przez rzekę przechodziłyśmy na drugi brzeg. Warta była tak zamrożona, że nawet jeżdżono przez nią na motocyklach. Drogę do szkoły miałyśmy wtedy bardzo skróconą, nie mówiąc już o frajdzie, jaką nam to sprawiało. Warta jednak miała rozmaite oblicza. Na przykład co parę lat olbrzymie powodzie, i to takie, że woda sięgała aż do połowy naszej furtki w ogrodzie. Przypominam sobie jak w latach trzydziestych szalona wprost woda płynęła Wartą, a w niej pełno rzeczy. Najżywiej odczułam płynącą z nurtem rzeki budę dla psa i stojącego na niej psa na łańcuchu. Rzeka budziła wtedy grozę. W lecie znów była przyjazna i pogodna. Lata przed samą wojną były upalne i poziom wody czasem tak opadał, że przechodziłyśmy rzekę w bród, woda sięgała nam wtedy trochę ponad pierś. Przechodziłyśmy na drugą stronę, bo tam było kąpielisko, gdzie wzięłam kilka lekcji pływania, ale doszłam tylko do strzałki i pływania na plecach.

Po wojnie, gdy miałam już 19 lat, a moi kochani bracia Jasiu i Michaś świetnie pływali (Jasiu najlepiej w Śremie pływał motylkiem, co było nie lada sztuką), to przenieśliśmy się na drugą stronę, na piaszczystą plażę na Kawczu (w dali widać było wieś Kawcze, skąd pochodziła p. Szczepaniakowa, od której braliśmy mleko; miała ona córkę Dulę - Wandę - naszą ulubioną towarzyszkę zabaw). Skrzykiwaliśmy się wtedy z dziećmi od Muślewskich i Malinowskich, i tam kąpaliśmy się i graliśmy w karty. Ale jak te karty, koc, skibki, wodę z sokiem i (koniecznie!) ogórki kiszzone przewieźć na drugą stronę? Rozwiązaliśmy ów problem w ten sposób, że ja siadałam na koło ratunkowe, a na kolana wkładali mi bracia koc z tymi wszystkimi "mateklosami" i przepychali koło ze mną na drugi brzeg. Czasami tak "dla hecy" puszczali mnie wolno i tak płynęłam, siedząc w kole, z prądem War-



ty z kocem, kartami i tymi kiszonymi ogórkami. Gdy piszę te słowa, to sama się śmieję do tych wspomnień i moich ukochanych braci. Ponieważ zegarków z wiadomych powodów nie mieliśmy, więc gdy była pora na obiad, Mama wychodziła przed dom i krzyczała: "Dzieci, na obiad" - głos niósł się wspaniale po wodzie. Zbieraliśmy cały majdan i wracaliśmy na zasłużony obiad.

Z czego byliśmy bardzo dumni, to ze śremskiego stateczku o nazwie "Popiel". Przeważnie stał przy moście, ale czasem pływał, co napawało nas ogromną dumą. Do kogo ten stateczek należał, nie wiem. Pamiętam tylko, jak w noc św. Jana na

pokładzie tego stateczku odbywało się bardzo rzewne przedstawienie, o Wandzie, co nie chciała Niemca. Kończyło się ono niezwykle dramatyczną sceną: Wanda w białej szacie z wiankiem na głowie skakała - rzuciła się do Warty - Wisły. Bardzo przejęta pytałam Musię (tak jako dzieci zwracaliśmy się do Matki):

- Czy ta śremska Wanda naprawdę się topi?  
- Naturalnie - odpowiadała Musia. - Jak będziesz niegrzeczna, to w przyszłym roku ty będziesz Wandą. (Mama miała poczucie humoru).

Tej nocy puszczałyśmy też wianki na rzecę; zwyczaj, który już właściwie zaginął.

Jako dzieci godzinami bawiliśmy się piłką "w klasy", i to na murku od dawnej stajni (pani Kinder, od której rodzice kupili nasz dom miała konie wyjazdowe i - co najwięcej nam się podobało - te konie miały na pęcinach czerwone skarpetki). Odbijało się piłkę o mur w rozmaitych kombinacjach: 25 razy wewnętrzną stroną ręki, 20 stroną od łokcia do dłoni, a

kończyło 5-krotne odbicie głową. Graliśmy też w siatkówkę i w dwa ognie.

Byliśmy pewnie jedynymi dziećmi, które grały w krykieta. Była to gra trochę podobna do golfa dorosłych. Były też kijki i mała piłeczka, tylko w golfie trzeba ją było doprowadzić do dołka, a w krokietu

przeprowadzić ją przez różne żelazne bramki. Najtrudniejsze było przeprowadzenie jej przez tzw. "dzwon", stworzony przez dwie nałożone na krzyż bramki. Bawiliśmy się w tę grę przed domem, co obserwowała siedząca w oknie Mama, haftująca pracownice frywolitki, służące do obdziergania paradnych chusteczek.



"Zabawa w Indian" - Bogna Mierzejewska, Irka Malinowska z tarczą, Ewa Muślewska, Krysia Mielochówna

W serso grałam w Rudkach koło Trzemesznej u Cioci-Babci Myszkii Meyznerowej. Naprzeciwko domu znajdował się kwadrat sadu z drzewami owocowymi. Drzewa były wysokopienne, a odmiany jabłek teraz zupełnie nieznane, jak np. małe "koraliczki", które nadawały się na ozdobę choinki lub pyszne "grafsteiny". Na drzewach tych, po których chodziliśmy jak małpy, odchodziła wspaniała zabawa w straż pożarną. Odbywało się to w ten sposób, że jakaś ofiara siedziała na najwyższym konarze i krzyczała: "Ogień, pali się!" Reszta wiaruchny leciała po wąż i z całym poświęceniem gasiła pożar, przy czym delikwent był dokumentnie zlaný wodą, co w niczym nie przeszkadzało, bo przeważnie w te upalne lata biegaliśmy po ogrodzie w kąpielówkach. Potem trzeba było jeszcze "palać się" ofiarę wyciągnąć z objętego pożarem piętra w dół. Odbywało się to w ten sposób, że wchodziło się do solidnego kosza na kartofle, przetrząsnęto go liną przez konar. W tym koszu, luzując linę, spadało się osobnika na dół.



Wychowane na literaturze o Indianach, musiałyśmy też bawić się w dzielnych czerwonoskórych. Tworzyłyśmy dwa zwalczające się szczepy - Mohikanów i Siuksów. Zachowała mi się przez te wszystkie zawieruchy fotografia dzielnych Siuksów: pyzata buzia Irki Malinowskiej, moja i Krysi Mielochówny. Każda pomalowana na buzi w barwne pasy, ponieważ byłyśmy "na stopie wojennej" (topór wojenny wykopany). Były przy tym różne podchody, zamaskowane doły, w które "wróg" miał wpadać, a nasi młodzi bardzo bracia pełnili rolę posłańców przy rokovaniach pokojowych. Zabawa była tak dynamiczna, że rodzice zapraszali w roli obserwatorów ks. Dziekana i wikariuszy, żeby mieli też trochę uciechy.

Zabawą, której ani moje dzieci, ani wnuki nie znają była zabawa "w panią i służącą". Pani rozkazywała, a służąca musiała wykonywać wszystkie polecenia. Pamiętam taką scenę, kiedy kolejna nasza gosposia wybiegła z kuchni i widząc naszą zabawę, rozkazała: "Boniu już dosyć była służącą, teraz będzie panią!". Jednym słowem gosposia też dbała o honor rodziny. Czasami jednak ingerowanie służby miało przykry wydźwięk. Przypominam sobie na przykład, że kiedy Jasio bawił się z dziećmi mieszkającymi w pobliżu szewca, wyszła przed dom i krzyknęła: "Szewcy do domu, bo Jasio będzie jadł obiad!" I ci pokornie poszli do domu. Dotąd boli mnie serce za nich i to odezwanie się Wikci.

Jako małe dzieci dużo czasu spędzałyśmy w piaskownicy. Ja, zawsze historycznie nastawiona, budowałam zamki z fosą. Jakże się umęczyłam, aby w finisie jednak płynęła woda, bo jak na złość ciągle wsiąkała w piasek. W zabawach w piaskownicy brała żywy udział Ciocia Zosia - siostra Musi. Była bardzo wesoła i bardzo nas kochała, dlatego niezmiernie lubiłyśmy wspólne z nią zabawy.

Jedną z zabaw w ogrodzie, której oddawałyśmy się z wielką pasją, było plucie na ropuchy. Ktoś nam powiedział, że ropuchy to są z czarowani, śliczni łaniewicze. Mogą się odczarować, jeżeli plunie na nich niewinna panienka. Ropuch było pełno w oknie piwnicznym. Stałyśmy więc nad nimi i cierpliwie plułyśmy. Niestety, bez skutku. Co za szkoda...

Maj sugerował zabawę w nabożeństwa majowe. Znalezione cegły malowałyśmy "modrem" od prania na niebiesko i z cegieł budowałyśmy kapliczkę. W środku, wymalowanym na niebiesko, ustawiało się stojący obrazek z Matką Boską. Jak jeszcze znalazła się zapalona świeczka, to radość była pełna. Śpiewałyśmy nasze ulubione pieśni maryjne, jak: "Po górach, dolinach", "Chwalcie łąki umajone" i inne. Inspirujące były śpiewy, które dochodziły do nas w maju z nabożeństw w klasztorze.

Także w maju żyłyśmy pod wrażeniem występowania chrabąszczy. Były chrabąszcze majowe i czerwcowe. Zbieraliśmy je namiętnie i wkładaliśmy do pudełek, gdzie "chrabęścili" w specyficzny sposób. Rozróżnialiśmy różne rodzaje chrabąszczy, jak: "króle" i "młynarze", z pancerzami jakby posypanymi mąką. Przynosiliśmy chrabąszcze do szkoły, gdzie odbywały się targi, zamiany itd.

Wielkie święto było w domu, gdy przyjeżdżał do Śremu nasz ukochany Dziadzio Mierzejewski z Ostrowa. Zlatywała się wtedy cała zaprzyjaźniona dzieciarnia do nas i Dziadzio brał koc, kładł go w ogrodzie przy niskim żywopłocie z cudnym widokiem na zakręcającą koło nas rzekę i zaczynał nam opowiadać kolejne dzieje trzech świnek. Były to fascynujące dzieje trzech małych świnek, a Dziadzio miał dar barwnego opowiadania. Pytałyśmy się też Dziadzi o Jego wspomnienia szkolne, tym więcej dla nas ciekawe, że mieszkał kiedyś z rodzicami i sześciorciem rodzeństwa w Śremie. Dziadzio więc opowiadał, że należał do Towarzystwa T. Zana oraz że ulubiona za Jego czasów była zabawa osobliwa, tzn. jeżdżenie na krach na rzece. Dragiem manewrowało się chcąc wrócić na brzeg. Jednego razu ze zmarzniętych rąk wypadł drag, którym przyciągało się kry i cudem tylko nie doszło do katastrofy. Za moich czasów tego sportu nie uprawiano. Za to jeżdżono w zimie na lodzie na tak zwanych "półdydkach". Były to dwie listwy drewniane połączone deseczką. Delikwent stał na tej deseczce i odpychał się kijem ustawionym między nogami. Moi bracia też tak jeździli z wielką uciechą.

Bogna MIERZEJEWSKA-URAM

Foto: archiwum c.d.n.



# Wrzesień ewakuowanych cz.II

Z niezjadłą już siostrą Marysią wybraliśmy się do najbliższego folwarku kilka kilometrów od Kutna, o nazwie Podczachy.

W ogrodzie leje po bombach, owoców na drzewach już nie było. Słychać było przez wybite okna jakiś gwar w dworku. Wetknąłem głowę przez wybitą szybę i ujrzałem gromadę ludzi, przekrzykujących się po polsku, siedzących przy zastawionym stole. Przypuszczam, że byli to rezerwiści, którzy nie złapali swojej jednostki. Byli ze Śremu, bo jeden z nich zawołał "śremska gęba". Jestem pewny, że jednym z nich był późniejszy adwokat Ratajczak ze Śremu, którego znałem. Do środka nie wpuścili - nie ta sfera. Do pociągu wróciliśmy z pustymi rękami.

Następnego dnia rano wybrałem się sam do Kutna. Jakies dwa kilometry przed miastem leżał w rowie rozbity niemiecki lazik wojskowy. Ludzi, ani w środku, ani przy nim nie było. W rowie leżała kompletnie rozbita radiostacja. Sądzę, że Niemcy byli pewni, że mogą już wjechać do miasta. Przepędzeni przez polskie wojska uciekali i wpadli do rowu. Pozbierali co do nich należało, radio rozbili i uciekli.

Mieli gdzie się schować. Tamtejsi mieszkańcy mówili, że jak chata zbudowana jest szczytem do drogi, to niemiecka.

W przydrożnym sklepiku, obsługiwanym przez starszą Żydówkę, udało mi się kupić kilka czekolad i garść kostek bulionowych Maggi. Kostki te wkładano do butelki i zalewano gorącą wodą, kupioną z lokomotywy, koło wejścia do maszynisty. Czasem odkręcał on jakiś kurek i woda szybciej kapiała. Nazywaliśmy ten płyn "bulionem z lokomotywy".

W Kutnie były duże zniszczenia stacji i jej pobliza. Niedaleko stacji widziałem pusty sklep rzeźniczy z szyldem "Zygmunt Grajewski". W mieście były pożary. Widziałem palące się piętrowe, drewniane budynki, jakich się u nas nie spotyka. Koło jakiejś fabryki czy hurtowni leżało dużo różnych marek papierosów, którymi - choć nie paliłem - napełniłem kieszenie.

Pierwszej ciemnej nocy, gdy było wyraźnie słychać łoskot czołgów, wydano rozkaz spalania akt urzędowych.

Kilka metrów od toru ułożyliśmy stos papierów z naszego wagonu.

Miałem wątpliwą przyjemność oblać ten stos denaturatem i podpalić. Nie wiem, kto dał rozkaz, ale wzdłuż toru widać było więcej takich ognisk.

Po powrocie do pociągu, odpoczynku i przegryzieniu czekolad, ruszyłem w drugim kierunku szukając żywności.

W trzecim z kolei gospodarstwie udało mi się kupić trochę masła. Nie było w co pakować, więc sprzedali mi razem z ceramicznym garnkiem, zwanym przez gospodynię "kamienioczak".

Wsadziłem go w torbę, którą miałem przy sobie i ruszyłem z powrotem. Gdy byłem kilkadziesiąt metrów od pociągu, usłyszałem gwizd i pociąg ruszył. O gonieniu nie było mowy.

Biegłem za nim po torach kilka kilometrów w zimowym płaszczu i z torbą masła. Zatrzymał się na chwilę i wtedy go dogoniłem. Rodzinę zobaczyłem już w wagonie osobowym. W przedziale obok nich siedziała jakaś starszaka z dorosłą córką.

Po raz pierwszy w życiu słyszałem córkę mówiącą do matki "Marylka". Dziś to jest już nagminne, a część moich wnuków próbuje też mnie "tykać".

Gdy byliśmy tuż przed stacją, z przodu wybuchła jakaś strzelanina. Nie wiem - Niemcy czy dywersanci. Z pociągu wybiegło paru naszych żołnierzy z bronią i zaprowadziło spokój. Pociąg przejechał jeszcze kilkadziesiąt metrów i stanęliśmy na stacji przy torach towarowych. Wśród innego taboru stała cysterna, z której tryskała masa niebieskich płomyków z otworów przestrzelonych przez pociski karabinowe. W cysternie był chyba spirytus, bo benzyna zaraz był wybuchła i zdmuchnęła nasze wagony. Po chwili pociąg ruszył i stanął dopiero na stacji Żychlin koło wsi Dobrzelin. Jacyś ludzie krzykiem poganiiali, żeby szybko opuścić pociąg bez względu na bagaże. Przepraszam, jeśli się mylę, ale wśród poganiaczy mogli też być "krajowcy", dla których - jeżeli zdąży przed Niemcami, nasze bagaże będą łupem wojennym.



Myśmy zabrali tylko worek z pościelą i pierzyną. Wilkowy kosz i reszta pozostały. Nikt nie zdążył zabrać całego bagażu. Ulokowaliśmy się w klubie urzędników Fabryki Silników Tramwajowych Rohn-Zieliński. Nie wiem, czy robotnicy też mają swój klub. Po drugiej stronie ulicy był teren fabryki, otoczony wysokim murem.

W klubie spędziliśmy noc. Rano poszedłem do naszego pociągu. Z bagażu nie pozostało nic. Nasz kufer był porozcinany nożem.

Na samej stacji trafiliśmy na wagon, chyba innego pociągu z rzeczami Uniwersytetu Poznańskiego. W nim było kilka sumatorów i książki. Zabrałem pierwszą z brzegu.

Była to "Rozprawa" Kartezjusza. Po powrocie do Sreму usiłowałem ją przeczytać, ale nic nie rozumiałem.

Z okna klubu na piętrze widać było jakieś ruchy i słyszeć strzelaninę karabinową.

To nasi żołnierze ścierali się z napierającymi Niemcami. Nie wiem, kto rzucił hasło do ucieczki.

Ludzie brali swe manatki i uciekali do ulicy wylotowej w kierunku wsi Skrzyszewy.

Po obu stronach ulicy były ogrody otoczone siatkowymi płotami. Pewny odcinek ulicy zajął tłum złożony z ewakuowanych jak my mieszkańców Żychlina oraz wielu rannych w różnorakich opatrunkach, którzy wyszli lub uciekli ze szpitala. Wszyscy poszli w kierunku rzekomo bezpiecznej Warszawy.

Była mgła i zaczęła się mżawka. We mgle widać było zarysy latającego samolotu.

Dzięki mgle jego ostrzeliwania nie były celne. Czasem słyszeć było przerażający dźwięk, jak gdyby jęk, gdy kule trafiały w siatkę płotów.

Tłum stopniowo rozpyływał się po lasach w różne drogi i ścieżki, a nasza grupka zmalała do Górnych, Wachowiczów, Kruzlów i p. Nawrockiej.

Zwiększający się deszcz zmusił nas do schronienia się pod dużą stertą lubinu.

Obok polem szło kilku żołnierzy bez broni i pasów. Musieli nas zauważyć, bo zaczęli ironicznie podśpiewywać: "choć głodno i chłodno, żyjem sobie swobodno".

Do spotkania pierwszego patrolu niemieckiego, a potem obóz jeniecki.

W dalszej drodze na ścieżce leżał niewybuch bomby lotniczej. Był już otoczony kilkoma patykami, powiązany sznurkiem.

Kiedy tę bombę mijaliśmy, Jurek Górny zatrzymał się i powiedział, że nas dogoni. Okazało się, że spuścił spodnie i na bombę "ustrzelił kupkę". Gdy jego matka zaczęła wygłaszać moralizujące kazanie odpowiedział, że patyki i sznurki nie przeszkodzą nawet dziecku dojść i spowodować nieszczęście. W jego "zabezpieczenia" wejdzie tylko saper, który przyjdzie bombę rozbroić.

Przeszliśmy przez wieś Pacyna, miejsce zamieszkania późniejszego premiera Pawlaka.

Na nocleg zatrzymaliśmy się w małej, jakby wymarłej wsi Rybie. Zajęliśmy małą stodołkę przy drodze na skraju wsi.

Za drogą było pole ziemniaków. Dla mnie nie starczyło miejsca w stodole i noc przedrzemałem na stojąco we wnęce bramy stodoły. Nad ranem rozległy się huk wystrzałów, a na pole ziemniaczane zaczęły spadać i wybuchać pociski moździerzowe. Nie wiem czy polskie, czy niemieckie. Prawdopodobnie będące z drugiej strony wsi wojska usłyszały wieczorem jakiś ruch z naszej strony i na dzień dobry oddały salwy z moździerzy. Pociski wybuchły około 30 metrów od nas, wywołując huk, ogień, dym i kurz. Ze stodoły wypadł z obłędem w oczach Górny - ojciec i rzucił się w to całe piekło. Człowiek, który w I wojnie światowej był w słynnej bitwie pod Verdun, największej bitwie świata do II wojny światowej, w bitwie w której zginęło 700 tysięcy ludzi, dostał chyba szoku, bo w przeciwnym razie nie zostawiłby żony i dzieci. Po nim wyszedł Kruzel. Łzy mu ciurkiem leciały z oczu i ustawicznie się żegnał.

Kiedy się uspokoiło p. Górna z chłopakami przeszukała pole ziemniaczane, lecz męza nie znalazła.

W dalszej drodze doszliśmy do wsi Kamień. Wszystkie drogi wiejskie zapakowane były polskimi taborami. Dopiero niedawno w jakiejś książce znalazłem informację, że dowództwo wojsk wycofujących się z Pomorza rozkazało odprowadzić tabory na wieś, gdyż przeszkadzały wojskom przebiegać się przez Puszcę Kampinoską do Warszawy.

Byliśmy na podwórzu jakiegoś gospodarstwa, gdy nadleciał niemiecki samolot i latając w kołko nad wsią strzelał z karabinów maszynowych. Po odlocie samolotu ulice wsi wyglądały strasznie: rozwalone wozy, zabite i wierzgające, kwiczące ranne konie. Gdy wychodziliśmy ze wsi, kilku gospodarzy próbowało ratować co się jeszcze dało.

Pod wieczór doszliśmy do szosy Gąbin-Sanniki.

Nad szosą unosił się gęsty obłok dymu i kurzu, że szosa nie było widać. Słyszeć było jedynie jakiś szum, gwar, łoskot i strzały.

W naszym kierunku padło kilka strzałów, po których pani Wachowicz dostała ataku hysterii.

Wycofaliśmy się i dotarliśmy do pierwszego z brzegu gospodarstwa wsi Lipińskie. W domu byli już jacyś uciekinierzy, a w stodole ich wyladowany wóz. Nie chcieli usunąć wozu ze stodoły, żebyśmy sami mogli ją zająć.

Mimo oporu właścicieli - tu pomógł widok rewolweru, którego jeszcze w kieszeni miałem - wóz wypchnęliśmy na podwórze, a sami zmęczeni położyliśmy się na klepsku i twardo zasnęliśmy.

Rano wozu i jego właścicieli nie było już w gospodarstwie. Drogą jechały konne tabory niemieckie. Mój rewolwer wyrzuciłem na górę w owies.



Jeden z wozów niemieckich zatrzymał się przy gospodarstwie, a żołnierze przyszli na podwórze wołając "hafer" (owies). Szybko z jednym chłopakiem wskoczyłem na górę, stanąłem na rewolwerze, żeby nikt nie widział i zaczęliśmy zrzucać owies. Po odejściu taborów chciałem rewolwer wrzucić do studni, ale zabrał go syn gospodarza.

Na podwórze przyszedł niemiecki major w asyście paru żołnierzy. Zarządził zbiórke uchodźców. Ja byłem wysoki, więc zapytał mnie o wiek. Matka powiedziała, że 17. Kazał mnie zrewidować, czy nie mam broni. Potem powiedział, że mamy tu przenocować, ale w domu.

Nie wolno wychodzić, bo żołnierz będzie pilnował.

Na tej zbiórce nie widziałem już Krunzelów i Wachowiczów. Nie wiem gdzie się ukryli, bo do powrotu ich nie widziałem.

P. Górna za zgodą majora poszła z synami do wsi Rybie szukać męża, ale bezskutecznie.

Następnego ranka po przenocowaniu w domu (ja spałem na strychu) wyszliśmy ze wsi, ale nie do Szczawina Kościelnego, jak kazał ten oficer, ale trochę innymi drogami do Żychlina. Jak się dowiedzieliśmy od syna gospodarza, w Szczawinie Kościelnym był obóz skąd ludzi gdzieś wywożono.

W Żychlinie znaleźliśmy się wieczorem.

Musieliśmy czekać, aż uruchomią pociąg do Poznania. Jakaś rodzina kolejarska użyczyła nam noclegu na podłodze.

W sąsiedztwie jakaś kobieta wydawała obiady, czasem o dziwnej nazwie "kwaśniaczek" - za 1 złotówkę talerz zupy. Były to jakieś jednorazowe dania o raczej płynnej konsystencji.

Rodzina nazywała się Filiński, ojciec, matka i córka około 13-letnia. Matka i córka gotowały i podawały, a ojciec był popychadłem. Co chwilę odzywał się wrzask nawet tej córki: "Filiszczak przynieś węgla, Filiszczak - ziemniaki, Filiszczak - woda", on z pokorą biegał.

Pewna Żydówka sprzedawała w mieszkaniu owoce. Wpadliśmy tam z którymś z Górnych głośno gadając. Gospodyni podniosła palec do ust i powiedziała: "Sza - tatetae się modli". Przy nakrytym białym obrusem stole z zapalonym 7-mio ramiennym lichtarzem siedział starzec z wielką, białą brodą, z jarmulką na głowie. Był w czarnym chałanie nakryty jakby kapą w czarno-żółte pasy i modlił się z wielkiej, czarnej księgi ze złożonymi brzegami. Podziwiałem go. Ani nie drgnął na nasze hałaśliwe wejście i trwał pograżony w modlitwie. Po raz pierwszy takie coś widziałem.

W drugiej połowie września Żydzi obchodzą święto Jon Kippur - dzień pojednania, w Polsce nazywany Sądny Dzień. Niemcy urządzili żychlińskim Żydom prawdziwie sądny dzień. Ulice Żychlina były w tym czasie grubo po-

kryte śmieciami i końskim łajnem. Niemcy spędzili wszystkich Żydów mężczyzn z narzędziami do robienia porządków i kazali oczyścić miasto, a śmieci wywozić za miasto. Praca trwała późno w nocy, a nazajutrz ulice lśniły czystością.

Po paru dniach podstawiono pociąg do Poznania. Jechaliśmy okreśną drogą przez Włocławek, Toruń, Inowrocław. Po dość długiej podróży pociąg zatrzymał się nad jakąś rzeczką czy też kanałem ze zniszczonym mostem. Przeszliśmy po kładce, a po drugiej stronie stał pociąg, który dowiózł nas na Zawady w pobliżu starego fortu, już zamienionego na mieszkania dla emerytowanych podoficerów. Tej trasy nie jestem w stanie szczegółowo opisać. W forcie przyjęła nas rodzina, nakarmiła nas makaronem z sosem serowym i pozwoliła przespać się na podłodze.

Rano nasze matki znalazły ogrodnika, który za słoną opłatą podjął się zawieźć nas platformą do Śremu. Byliśmy w następującym składzie: p. Górna z trzema synami, p. Nawrocka i nasza szóstka, razem 11 wygnańców plus woźnica.

Po kilku godzinach jazdy od Zbrudzewa przez łąki, bo trzy mosty po ich wysadzeniu były w remoncie, popołudniu dotarliśmy do domu. Był 28 września 1939 roku.

Po Niemcach zostały ślady butów na materacach. Brat Stanisław już wrócił. Po kilku dniach zjawił się brat Józef z silnymi bólami pleców. W czasie nalotu, w drzewo, pod którym się schował, trafiła bomba, a on został uderzony konarem w plecy. Okazało się, iż w plecach tkwi drzazga, a ciało wokół ropieje. Matka drzazgę wyrwała, ropę wycisnęła, ranę zdezynfekowała i zabandażowała. Po trzech dniach brat był zdrowy.

Codziennie przychodził żołnierz w hełmie z karabinem po ojca. Ojciec wrócił 15 października.

Po odwiezieniu monterów do Warszawy, o czym pisałem na początku, ojciec z Juszczykiem dotarli na teren zajęty przez wojska sowieckie. Z uwagi na wiek żołnierze ruscy wypuścili ich wolno, nawet roweru nie zabrali.

Zaraz po powrocie niemiecki żołnierz zabrał ojca na komendę. Niemcy wiedzieli, że ojciec demontował świąską centralę. Kazali jemu i Juszczykowi odnaleźć centralę tę lub inną, zamontować i połączyć niemieckie biura i urzędy. Ojciec otrzymał przepustkę i pojechał ze strażą policyjną, która też szukała swojego sprzętu. Znalazł centralę i Juszczykiem zabrali się do nakazanej roboty.

Co się dalej działo z ojcem i całą rodziną w czasie okupacji, to już inny temat.

Na koniec muszę dodać, że w ciągu tego miesiąca kilka razy widziałem patrol PCK, oferujący pomoc medyczną, a czasem herbatę lub płatki owsiane dla dzieci.

Franciszek GRAJEWSKI



# Ocalić od zapomnienia

Zaskoczone żywą reakcją mieszkańców Śremu na nasz ubiegłoroczny apel zwracamy się do Państwa z kolejną prośbą.

Z okazji zbliżających się obchodów 750-lecia nadania Śremowi praw miejskich wraz z Muzeum Śremskim postanowiliśmy rozpocząć akcję zbierania pamiątek, które - być może - przechowują Państwo na strychach, w szufladach czy walizkach.

Z radością przyjmiemy nawet niepozorny przedmiot, każdy bowiem ma swoją historię, na pewno ciekawą i wartą opowiedzenia. Zaciekawia nas wszystkie eksponaty, które uznacie Państwo za warte ocalenia od zapomnienia.

Zapewniamy, że wszystkie pamiątki zostaną starannie opisane, skatalogowane i pozostaną w zbiorach Muzeum Śremskiego. Zebrane eksponaty zostaną wykorzystane do napisania pracy na konkurs "Poznajemy Ojcowiznę". Jeżeli zdecydują się Państwo na udostępnienie swoich zbiorów, zapraszamy do Muzeum Śremskiego w każdy wtorek od 15.00 do 17.00.

Bliższe informacje p. Barbara Jahns Muzeum Śremskie tel. 28 35 938.

*Weronika Nowak  
Agata Toł oła  
Uczennice LO w Śremie*





# Losy ludności polskiej na ziemiach II RP okupowanych przez ZSRR po 17 IX 1939 roku

Nikt nie ośmiela się głośno przyznać, że wojna to także miliony sierot...

Dzieciństwo. Ten jeden z najcudowniejszych okresów życia. To wtedy, gdy mamy jeszcze "bilet wstępu do Krainy Marzeń". I nagle cały bezpieczny dotąd świat zawala się. Zabłocony buciur wroga wdeptuje w małe serduszek. Rozrywa je. Miazdzy całą szczęśliwą przeszłość.

"Każde dziecko ma prawo, wszystkie dzieci muszą mieć prawo do bez troskiego, szczęśliwego dzieciństwa. Wojna to prawo im odebrała. Odebrała im prawo do szczęścia, do wesołej zabawy, odebrała im prawo do bezpieczeństwa nawet we własnym, rodzinnym domu, a także często i ten dom, i najbliższych. Udziałem dzieci stał się głód, poniewierka, obozy, śmierć, ale także walka."

Pamiętam to lato. Było cudowne! Z rówieśnikami z podwórka bawiliśmy się całymi dniami. A gdy wracałam do domu mama dawała mi najsmaczniejszy na świecie placek drożdżowy.

A potem to wszystko się skończyło.

Słyszałam jęk lecących samolotów i wybuchy bomb. Życie zupełnie się zmieniło. Myślałam, że to tylko zły sen i że za chwilę się obudzę. Ale to była rzeczywistość. I jakże trudno to zrozumieć. My, dzieci nie rozumialiśmy co się dzieje, ale wiedzieliśmy, że to co nadchodzi jest przerażające.

Wzbudzał się we mnie coraz większy lęk.

W błędzie jesteście myśląc, że dzieci nie będą pamiętały. Bardzo głęboko zaryć się mogą w pamięci małego człowieczka zarówno chwile radosne, jak i bolesne.

Czy pamiętam wojnę? Kilka sytuacji, scen i przede wszystkim tę atmosferę. Ciągła niepewność. Świadomość niebezpieczeństwa. Zagroźenie, które czaiło się wszędzie, więc nie było przed nim schronienia.

Jedną ze scen, którą widzę do dziś to wkroczenie Armii Czerwonej na ziemie polskie. Zza firanki obserwowałam jak Bolszewicy krocą ulicami naszego miasteczka. Było to obdarowane wojsko, w nieobrobionych płaszczach i z karabinami na sznurkach. A ich konie to sama skóra i kości. Za nimi jechały czołgi. Olbrzymie, okrutne czołgi. Niekórkim Ukraincy i Żydzi

witali ich z radością. Krzyczeli i rzucali im kwiaty pod nogi. A ja nic z tego nie rozumiałam. Czułam przed "tymi" ludźmi paniczny strach. W pierwszych dniach biegali po mieście od sklepu do sklepu. Śmiesznie tak wyglądali obławowani, z zawieszonymi na szyi sznurami kielbas. Na ulicach leżało pełno ulotek, na murach były porozlepiane plakaty. Z nich wszystkich w pamięci utkwił mi szczególnie plakat, który przedstawiał orla białego. Orła tego żołnierz bolszewicki przebił bagnietem! Tatusz tłumaczył mi kiedyś, że TEN orzeł to znak polskości, Polski - naszej, mojej Ojczyzny. Dużo mi ten plakat wyjaśnił, bo już wiedziałam, że naszą ojczyznę chcą zabić. Dlaczego? Czy mu zrobiliśmy coś złego?

Ale ten opis wejścia Bolszewików to tylko pół prawdy o pierwszych dniach okupacji. Druga część prawdy to opowieść o terrorze, morderstwach i egzekucjach. Polacy to głównie ofiary w tych dniach. Wojskowi, właściciele ziemscy, policjanci, leśnicy, żołnierze i oficerowie Wojska Polskiego z rozbitych przez ofensywę niemiecką oddziałów - to pierwsi polegli ojcowie, mężowie, synowie. Zostawiają po sobie pierwsze osierocone przez wojnę dzieci, owdowiałe żony i bolejące matki.

Pewnego dnia przyszli po tatusia... Zabrali go i... i nigdy nie oddali. A to właśnie on uczył mnie, że nie wolno nic nikomu zabierać, a jak się coś pożyczysz, to trzeba oddać. Myślałam, że tatusz też im tak powie i oni nam tatusia zwrócą...

W dniu aresztowania widziałam go ostatni raz. Kazali mu obiecać, że jeszcze go zobaczę. Ale on milczał.

Dlaczego zabrali tatusia? On był taki kochany.

Rana, którą mi wtedy zadali w dziecięce serduszek, nigdy się już nie zagoiła...

Więzienia wkrótce po wkroczeniu Armii Czerwonej stały zapelnione po brzegi. W jednym z więzień w Baranowie było 220 osób na trzydziestu sześciu metrach kwadratowych. Warunki były nie do opisania.

Mamy coraz częściej nie było w domu, bo stała całymi dniami przed więzieniem, żeby podać tatusiowi jedzenie albo ubrania. Kiedyś przyszła z podpuchniętymi oczami. Wiedziała, że płakała.



(...)

Mama wyglądała i czuła się coraz gorzej. Później leżała już tylko w łóżku. Jedyne co pamiętam, to przeraźliwie białą twarz mamusi na białej poduszce. Miała zamknięte oczy...

A potem znalazłam się w sierocińcu. Było potwornie. Jak się tam znalazłam - tego nie pamiętam. Uczyli mnie mówić po rosyjsku. Później wmawiano mi, że Boga nie ma. Ale ja się sprzeciwiałam. Za to mnie bito. Wiedziałam, że Bóg jest i mnie kocha. Przecież tak mówili mi rodzice, którzy u Niego są. Modliłam się po cichutku, gdy leżałam w łóżku, żeby wojna się skończyła...

Aniele, stróżu mój

Ty zawsze przy mnie stój

Rano

Wieczór

We dnie, w nocy

Bądź mi zawsze ku pomocy...

Zadziwiająca jest odporność dzieci, które wydarte z normalnego otoczenia, pozbawione rodziców zachowały jednak poczucie narodowości. Z uporem broniły swojego języka, trwały w wierze. Przemoc budziła w nich wolę przeciwstawiania się gwałtowi, a zwłaszcza poczucie wspólnoty. Pomiedzy obcymi dziećmi rodzi się serdeczna więź, wspólnota mowy, wiary, obyczaju i walki o przetrwanie.

Głód to jeszcze jedno natarczywe wspomnienie z tamtych lat. Powracające marzenie o tym, by choć raz najeść się do syta. Dzieciom zwidują się placki kartoflane, zupa z fasolką i szczypanymi kluseczkami, chleb grubo posmarowany smalcem. Jakże one pamiętają smak cukierka. Wojna to stałe niedojadanie, wyprawy matek po kilka ziemniaków, chleb dzielony na cienkie kromki, czerstwy, trociniasty, skropiony łzami.

W pamięci do końca życia mam zapisany zapach zupy z sierocińca.

Czasami jak widmo, nie wiadomo skąd przywędruje do mnie ten zapach i wyzwała bełład wspomnień, zdarzeń, sytuacji, obrazów. Porwana taśma filmowa, sklejona przypadkowo, byle jak.

W tyłu wspomnieniach dźwięczy tęsknota za utraconymi na zawsze, za rodzicami, rodzeństwem i krainą dzieciństwa, bo wielu zostało pozbawionych najmniejszych pamiątek, listów, fotografii, a także i mogił, na których mogłoby lewaty złożyć, znicz zapalić.

Wojna się skończyła, przyjechała po mnie ciocia, której nie pamiętam.

To siostra mojej mamusi.

Radość. Znam to uczucie. Znam smak radości. Radość powrotu. Radość spokoju. Radość nie chowania się po piwnicach. Radość nie słyszenia narastającego warkotu samolotów. Radość nie oczekiwania na wybuch. Radość jedzenia. Radość nie patrzenia na śmierć. Radość...

Nocami płakałam.

-Czego płaczesz - pyta ciocia.

- Przysięgnij mi - mówiłam - że nigdy nie będzie wojny.

Ciocia przysięgała.

W dzień mówiła:

- Nie jedz tyle, rozboli cię brzuch.

- A jak jutro nie będzie - mówiłam.

- Będzie - uspokajała mnie.

- To przysięgnij - prosiłam.

Przysięgała.

- Co to za samoloty - pytałam.

- Polskie - odpowiadała.

- Przysięgnij - prosiłam.

Przysięgała.

Przestałam pytać. Ale pozostał lęk.

Z czasem przestałam płakać. Może wyczerpałam już przysługujący mi zapas łez?

Wspomnienia skrywane, zepchnięte w podświadomość dobywają się na wierz w udrękach sennych, pełnych nagłego płaczu i ucieczek. I w życiu dorosłym jawią się nagłymi niechęciami, przypominające o minionej grozie, o przeżyciach, o których chcielibyśmy na zawsze zapomnieć.

"Czytam historię i widzę coś zrobił przez stulecia Człowiecze (...) zastanawiam się czyś godzien, aby cię pisać przez "C"."

## WOJNA

Uczymy się o niej na lekcjach historii. Zawsze dzieje się gdzieś - daleko, kiedyś - dawno, bardzo dawno.

Czy kiedykolwiek zdamy sobie sprawę, co przeżyli ludzie podczas wojny?

Drodzy Moi!

Żadne pióro i najbujniejsza wyobraźnia nie zdoła wyrazić tego, co oni przeżyli. Co możemy zrobić, to tylko nie pozwolić, by ludzkość o TYM zapomniała.

Problematyka zbrodni radzieckich jest w dalszym ciągu zaniedbana i wymaga dużego wysiłku, aby informacje o nich przekazać do powszechnej świadomości.

*Beata CALIŃSKA*

*uczennica kl. IIc, LO im. Gen. J. Wybickiego w Śremie*

## Źródła:

1. "Gazety Wojenne" - wydawca P.O. Polska, Warszawa
2. "Polska i świat w XX wieku" - Witold Promodis, rozdz.: "Radziecka agresja na Polskę 17 września 1939 r." i "Los ludności polskiej pod okupacją radziecką"
3. Artykuł "Dzieciństwo i wojna - Dokument czasów, historia pokolenia" - "Życie Warszawy" z dnia 1 kwietnia 1979 r. (cytaty)
4. Artykuł "Dzieciństwo i wojna - Dokument czasów, historia pokolenia" - Joanna Mazurczyk, "Życie Warszawy" z dnia 14-15-16 kwietnia 1979 r.
5. Ankieta "Życia" - wspomnienia Czytelników: wspomnienia Marii Terleckiej "Obrazy", Stanisława Nicińskiego "Życie w ciągłym lęku"
6. Rozmowa z osobą pamiętającą czasy okupacji radzieckiej



Porozmawiajmy o ... sztuce, czyli kącik jej amatora

# Świat, jak kolorowa mgła

"Banquo

Z ziemi powstają bańki tak jak z wody

To właśnie one - Ale gdzie znikną?

Macbeth

W powietrzu. To, co zdało się cielesne, Rozwiał się na wietrze niby tchnienie

Gdyby zostały!"

*William Shakespeare - "Makbet" w przekładzie Macieja Słomczyńskiego*

Po dniach i nocach bardzo gorących nadszedł pierwszy zimny poranek. Było już dość jasno, choć nie słonecznie. Okrągłe jezioro w Parku Puchalskiego zamieniło się w czarodziejski kocioł, z którego w chłodne powietrze podnosiły się wstęgi pary. Wydawało się, że jedynie pociągnąć nosem, a poczuje smakowite ingredencje warzone przez baśniowych kucharzy. Białe obłoczki były chwilami tak materialne, że szczelnie zakrywały fragmenty krajobrazu. A to, jak gumką, wymazały skrawek bloku na ulicy Kielińskiego. Kazały zawisnąć skośnym daszkom wieży ciśnień bez żadnego podpar-

cia, wbrew grawitacji. Innym razem wyglądało, jakby na obraz ktoś chlapnął specjalnym płynem, gdy ubywać zaczęły spore kępy traw, ciemnozielonych drzew i krzewów. Znikały, by po chwili znów pojawić się na swoim miejscu. Cud niewidzialności zdarzał się raz tu,

raz tam urzekając swoją ulotnością. Wtedy wspominałem te niezwykle obrazy. Owe widoki, które bardziej z myśli zostały utkane niż z materii. Są jednak najprawdziwsze z prawdziwych. Prawie dwa stulecia temu stworzył je pewien Anglik.



Joseph Mallord William Turner "Światło księżycy" 1840

William Turner, skromnego wzrostu, był gigantem sztuki. Jego żywiołowa uczuciowość, stale młodzieńczy entuzjazm dla piękna natury łączyły się z dociekliwością badacza. Dla swej pasji artystycznej nie raz ryzykował życiem lub co najmniej utratą zdrowia. Podczas sztormu, przywiązany do masztu obserwował

rozszalały żywioł bezpośrednio z pokładu statku. Był zafascynowany światłem wyzwolonym z żywiołów wody, ognia i powietrza. Kiedy w Londynie wybuchł potężny pożar budynku parlamentu nie bał się być



najbliżej ognistej ulewy spadających odłamków. Przebywał kilka dni w mrocznym pomieszczeniu, aby potem silniej odczuć piękno otwartej przestrzeni pełnej olśniewającego blasku. Dzisiaj wiemy, że jego genialna twórczość otworzyła wrota do impresjonizmu, a nawet ułatwiła powstanie malarstwa abstrakcyjnego.

Kiedy słońce zachodzi, powietrze odzyskuje przenikliwą rzeźkość. Wtedy wilgoć spokojnego morza przypomina dotknięcie chłodnego metalu. Jest jak tchnienie z zaświatów, przyprowadzające o gęsią skórę. Zewsząd nadciąga mrok. Roztopia w sobie odległe budynki, łódź i unoszące się na nieruchomej wodzie puste beczki. Horyzont za dnia tak błękitny przybiera teraz jeden z niebieskich odcieni spopieliałych szarości. Tęczywe jeszcze przed chwilą chimery także

redukują swoje barwy. Ale nim proces ten się zakończy, niskie słońce wybucha ostatnim, oślepiającym błyskiem. Maluje małąkimi płatkami szlachetnego kruszcu napotkane obłoki, wodę, przedmioty. Sprawia, że maszty, komin oraz burty dwóch statków, większego - żaglowca i holującego go parowca, kładą się długimi, kolorowymi cieniami na wodzie gładkiej niczym świeży lód. Ze smukłego komina błyszczącego czernią bucha gorący dym. Skupia miedziaste promienie słońca w jedną migotliwą tkankę. Złocista rzyta dotyka w pośpiechu także morskiej tafli. Jeszcze słychać, jak zmarszczona woda chlupocze o dziób białego żaglowca. Za chwilę stat-

ki wolno przepłyną obok nas. Słońce zanurzy się w oceanie. Zgaśnie światło i zapadnie zupełna cisza.

Do zabawnych wniosków doszedł pewien biskup, Grzegorz Berkeley. Uważnie studiował wywody ziomka, przemądrzałego medyka Jana Locke'a. Tego co to umysł rozumiał, jako "czystą tablicę". Na niej, według jego teorii, zapisują się kredowe litery naszych doświadczeń (może gdyby Locke żył dzisiaj porównałby ludzki umysł do sformatowanej dyskietki). Otóż biskup Grzegorz wykombinował, że skoro nigdy nie poznamy rzeczy wysyłających do oczu róż-

nobarwne światła to pewnie tych rzeczy... nie ma! Świat jest tylko lub aż - wrażeniem! i to naszym, indywidualnym wrażeniem. Czy William Turner znał rozterki biskupa i lekarza? Czy właśnie one kazały mu eksperymentować ze światem, który "zdał się cielesny a rozplynał we mgłę", jak pisał

Shakespeare? Nie wiem. Stworzył obrazy wielkiej urody. Przekonują mnie, że jesteśmy... pyłem na wietrze. Wszystko co nas otacza jest nim także. Ale przyznacie, jakże piękny to pył.

Ryszard ZAWADZKI



Joseph Mallord William Turner "Ostatnia droga Temeraire'a" 1839

#### Stały apel do czytelników:

**Prosimy - piszcie do redakcji, przysyłajcie wasze opinie i dokonania twórcze.**

**Adres redakcji: Muzeum Śremskie  
ul. Mickiewicza 89  
63-100 Śrem**



# "NIEZAPOMINAJKI"

## czyli urywki z życia wzięte

### Zamiast PROLOGU

Niedawno wpadł mi w ręce "Niecodziennik" ks. Jana Twardowskiego. Pochłonełam go "duszkiem". Jednocześnie ze zdziwieniem stwierdziłam, że zawód lekarza, który od piętnastu lat uprawiam ma wiele wspólnego z osobą duchowną. A w dni większych świąt kościelnych umacniają we mnie to przekonanie sami pacjenci, których wówczas jest więcej w poradni i niejednokrotnie odnoszę wrażenie, że nie wszyscy zdążyli się wyśpiwać. Lubię swoją pracę i cieszy mnie, gdy mogę innym pomóc. Bardzo często prócz leczenia ciała staram się też posklejać popękane tu i ówdzie "dusze", po prostu dodać otuchy.

Samotnie wychowując chore dziecko mam na koncie spory багаż doświadczeń i nieco inne spojrzenie na rzeczywistość niż dawniej.

Mimo wszystko mam w sobie zapas optymizmu, który czerpię z pracy. Samo życie niesie (wprawdzie nie co dzień) mnóstwo zabawnych i ciekawych sytuacji wartych odnotowania. Postanowiłam zapisać ciekawsze urywki z mojego życia wzięte, by ocalić je od zapomnienia.

Swoje zapiski prowadziłam wprawdzie nie na mankietach, ale w zeszytach z misiami na okładce, który kupiłam dla syna... i do tej pory nie był zapisany.

Wesołe zdarzenia nie omijały mnie już w dzieciństwie. Począwszy od drugiego roku życia, nie przegapiłam żadnej okazji, aby uczyć fruwać małe kurczaki i kocięta. Było to bardzo frapujące i zupełnie nie rozumiałam okrzyków mojej zrozpaczonej babci Mani: "Mireczko, weź mi ją stąd, bo mi inwentarz podusi!".

Nigdy nie lubiłam zdjęć pozowanych. Intuicja podpowiadała mi jak niezawodnie je zepsuć. Podczas pierwszej mojej fotografii kolorowej, którą robił tatuś (najlepszy fotograf wśród lekarzy), obiecałam: "JA ci coś wykombinuję!". Wsadziłam palec do buzi dosłownie w ostatniej chwili. Moja mama nosi to zdjęcie w portfelu do dziś.

Kiedy miałam trzy miesiące mama zostawiła moją półtoraroczną siostrę i mnie pod opieką taty. Gdy po kilku minutach wróciła do pokoju nie było mnie w łóżeczku. Z poręczy zwisała tylko kołdra. Rodzice przeszukali cały pokój - nic. Wreszcie mama zmęczona zajrzała pod swoje łóżko. Leżałam sobie spokojnie bardzo zadowolona i do dziś nie wiadomo, jak się tam znalazłam.

Bardzo lubiłam w dzieciństwie chodzić do cyrku. Czasem można było popatrzeć na przygotowania do widowiska. Pewnego razu byliśmy z siostrą i rodzicami kupić bilet na następny dzień, a przy okazji zobaczyć zwierzęta. Namiot już stał. Mój ojciec wszedł na chwilę do środka i powiedział: "Tak panowie, ładnie pracujecie, bo ja tu jutro przyjdę i wszystko musi się solidnie trzymać". Wkoło kręciło się pełno dzieciaków. Jedna z dziewczynek poprosiła mojego tatę o autograf sądząc, że jest artystą cyrkowym. Ojciec zaczął się nieśmiało wykręcać, ale już ustawiła się kolejka zbieraczy autografów. Chcąc nie chcąc zaczął podpisywać podsuwane kartki i pamiątniki.

My z mamą oglądaliśmy lwy, gdy Mał-

gosia (moja siostra) zauważyła, co się dzieje wokół naszego taty.

Nagle komuś się przypomniało, skąd twarz taty była mu znajoma... Wcale nie z telewizji, tylko z lekarskich wizyt domowych. Ojciec się uśmiechnął i chciał przystawić pieczęć. Wreszcie udało nam się go zabrać z tłumy i pękając ze śmiechu pomaszzerowaliśmy do domu.

Jeden z moich kolegów - Henio F. nosił w czasach licealnych fryzurę z lat trzydziestych. Gdy pierwszy raz wszedł do klasy, wszyscy wstali z miejsc sądząc, że to profesor. Dopiero mieli miny, kiedy w drzwiach stanął właściwy nauczyciel.

W szkole podstawowej i na początku średniej chodziłam do ogniska muzycznego grywać na fortepianie. Zawsze miałam kłopoty z palcówkami - tj. grałam nie tym palcem, który był zaznaczony w nutach. Za to głównie miałam o-



Autorka



nizoną ocenę. Kiedyś mój srogi nauczyciel - pan T. chciał mnie uderzyć po palcach, ale miałam refleks i zdążyłam uciec z rękoma. Rozsierdzony belfer walił linijką po klawiaturze.

Również dziwnym zbiegiem okoliczności nie często brałam udział w tzw. popisach dla profesorów i rodziców - pod koniec semestru. Na krótko przed planowaną imprezą miałam nadwreżone palce po grze w koszykówkę na zajęciach sportowych. Jednak przed ostatnim popisem założyłam się z nauczycielem, że zagram bezbłędnie bardzo trudny utwór J.S. Bacha. No i zagrałam. Gry tylko brawa ucichły, zamiast ustąpić miejsca kolejnej osobie bisowałam efektownym "Walcem kwiatów". Pan T. był purpurowy. Na koniec wręczyłam mu kwiatki puszczając przy tym "perskie oko".

Poszłam później na jeszcze jedną lekcję muzyki. Zagrałam panu T. swoją własną kompozycję. Nie ukrywałam zadowolenia, gdy belfer pytał: "Czy to Brahms?".

Będąc na studiach odwiedziłam w akademiku klub "Synapsa". Stało tam stare pianino.

Podeszłam i zaczęłam grać. Nagle zorientowałam się, że to moje brzdąkanie niesie się po osiedlu. To kolega Andrzej R. - z mojej grupy, włączył nagłośnienie.

Miałam 16 lat, gdy spędzałam prawie samodzielnie wakacje ze swoją starszą siostrą i jej narzeczonym w Karpaczu. Właściwie to miałam pełnić rolę przyzwoitki. Mama poleciła mi trzymać pieniądze na wynajęcie pokoju i wyżywienie. Na miejsce zajechaliśmy starą "skarpetą", która jakas zniosła ten sześciogodzinny wycisk. Gdy tylko ojciec zniknął z horyzontu, przed dom naszego przyszłego wypożycznika wyszedł jego właściciel, aby się przywitać. Do Małgosi krzyknął: "Cześć mała!". Mnie zaś ucałował w dłoń i szepnął: "Andrzej, póki żony nie ma". Ilekroć narzeczeni wędrowali na dyskotekę modliłam się, żeby szybko wracali i zamieszkałam się w pokoju od środka, bo facet się dobijał. Ode-

tchnęłam z ulgą, gdy z podróży po tygodniu wróciła jego żona. A pan Andrzej nadal przynosił nam rano świeże bułki i mleko.

Kilka dni temu pani K. była wraz z mężem na imieninach swojej rodziny. Przy wejściu stało już kilka par butów domowników i innych gości. Państwo K. także zdjęli swe obuwie. Libacja musiała być obficie zakrapiana, ponieważ po kilku godzinach jej trwania, gdy goście zaczęli się rozchodzić pani K. nie znalazła swoich nowych letnich pantofli. W końcu zrozpaczona założyła ostatnią parę pozostawionych butów trochę podobnych do jej własnych, ale znacznie bardziej zniszczonych. Nowe pantofelki pojechały do innego miasta i słuch o nich zaginął.

Przytaczam tę historyjkę ku przestrodze. Sama nie chodzę z wizytą tam, gdzie częstują mnie nawet najładniejszymi kapciami. Bo czyż bambosze lub bose stopy pasują do wizytowej sukienki?

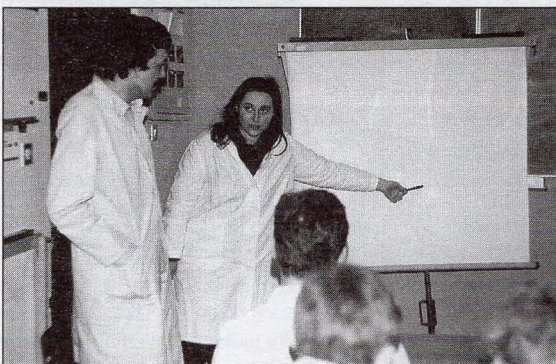
Zawsze lubiłam słuchać opowiadań dorosłych o ich dzieciństwie. Mój ojciec ze wzruszeniem wspominał, jak w miejscowości Z. (gdzie się wychował) parafianki śpiewały pieśni kościelne zgodnie z modlitewnikiem: "O Maryjo i te de iksum iksum trzy kropczki..."

Dzisiaj już się tego nie usłyszy, bo moi dziadkowie (obecnie śp.) skutecznie walczyli tam z analfabetyzmem.

W akademiku mieszkaliśmy z Moniką - studentką II roku Analizy Medycznej. Będąc na Wydziale Lekarskim II roku potem VI roku stanowiłam dla koleżanki autorytet. Często dzieliłam się z nią swoimi spostrzeżeniami i wiedzą z ćwiczeń. Nie sądziłam, że Monsia zrobi z tego użytek. Tak się jednak stało. Po powrocie z zajęć Monika bardzo zadowolona z siebie opowiedziała mi, jak "zagięła" docenta na zajęciach powołując się na to, co jej kiedyś opowiadałam. Oczywiście powiedziała, że przeczytała to w podręczniku interiny. Docent stał ośpiony, a kolegów Moni "zatkało", bo moja współlokatorka nie uchodziła raczej za kujona. Szybko sprawdziłam w książkach, czy aby się nie myliła. Ode-



Z siostrą Małgosią



Z lat studenckich 1987 r.



tcznął z ulgą, ale odąd baczniej uważałam na teksty serwowane Monice.

Na początku roku akademickiego wezwano nas - tj. studentów do Przychodni Studenckiej celem wykonania dodatkowych szczepień przeciwężcowych. Wchodziłam razem z kolegą Piotrem P. Miał on cerę woskową od urodzenia. Jednak pielęgniarka kazała mu się położyć widząc jego błądność powłok - tak na wszelki wypadek. Po prostu bała się, że chłopak zemdleje.

Na lektoracie z języka rosyjskiego zabrakło kiedyś Goški O. Była to dziewczyna o dobrze rozwiniętej klatce piersiowej, szczególnie w jej przedniej części. Pan magister dopytywał się co się stało z koleżanką z pierwszej ławki. Na naszą odpowiedź, że zachorowała tak zareagował: "A tak zdrowo wyglądała!". W tym miejscu uczynił wymowny gest na wysokości biustu. Oczywiście do końca zajęć mieliśmy dobre humorki.

Ileokroć mijam Kalisz przypomina mi się zabawne zdarzenie z okresu studiów. Byłam wtedy w I grupie na zajęciach z OOO (organizacja ochrony zdrowia). Ten temat omawialiśmy z samym kierownikiem - doc. S. Zapytał o coś koleżkę, który z temperaturą przywłókł się na zajęcia, bo według planu nie mielibyśmy kiedy ich odrobić. Oczywiście Tomek nie wiedział, i jakoś ciepło było, wiosennie, nikomu nie chciało się go poprawić. Doc. S. się zdenerwował i odesłał nas do domu. Nawet się ucieszyłam: "Zdązę na pociąg i będę wcześniej u mamy." (Mieszkałam około 200 km od miejsca studiów). Jakież było moje zdziwienie, gdy siedząc już w wagonie ujrzałam śpiesznie wchodzącego do przedziału doc. S. Moja twarz wydała mu się znajoma, toteż chętnie usiadł naprzeciwko. Odezwałałam się pierwsza: "Nie udało nam się dzisiaj te zajęcia". Facet szybko oprzytomniał. Wytlumaczyłam, że nie mamy wolnego terminu, by odrobić stracony dzień, a kolega był chory. Potem na luzie rozmawialiśmy na różne tematy. Tak się zagadaliśmy, że o mały włos doc. S. zapomniałby wysiąść w Kaliszu.

Na następnych zajęciach z OOO zamiast planowanej pani dr pojawił się doc. S. we własnej osobie i odrobiliśmy wraz z nowymi i te poprzednie zajęcia. A gdy potrzebne było zaliczenie w indeksie sama zanosilałam je dla całej grupy informując sekretarkę, że: "Ja w sprawie osobistej".

Zawsze lubilałam uczyć się języków obcych. Na lektorat wybrałam sobie język rosyjski, który już wówczas znałam biegle. Po prostu szkoda mi było czasu przeznaczonego na inne zupełnie nowe przedmioty. Kiedyś zapomniałam odrobić lekcje i pech mnie dopadł. Najpierw byłam pytana ze słówek. Jakoś mi się udało. Potem luźno rozmawialiśmy z lektorem na temat czytanki. Na końcu ocena. Tu padły takie słowa: "Pani się dziś nie przygotowała do zajęć". Ja na to: "Tak, ale czy źle odpowiedziałam?". Magister: "Nie, ale mogę pani postawić ocenę dobrą, a panią stać na więcej".

Podziękowałam uprzejmie, bo przecież w swoich wypowiedziach nie użyłam słów z czytanki. Tym razem mi się upiekło.

Co roku pierwszego czerwca wspominam mój egzamin z chirurgii ogólnej. Zalażyłam się z kolegami z grupy, że w ciągu dwudziestu dni zdam pięć egzaminów w terminie "zerowym". Było to dość ryzykowne przedsięwzięcie. Chodziło o takie przedmioty jak: pediatria, chirurgia, organizacja ochrony zdrowia, laryngologia i okulistyka. Nie przebieając w terminach zapisałam się na "zerówkę" z chirurgii w Dzień Dziecka. Jakoś nikt się ze mną na ten termin nie zapisał. Wówczas jeszcze o tym nie wiedziałam. Przekonałam się o tym dopiero na miejscu. Ale od początku...

Rano długo prasowałam piękną nową sukienkę "na wieczór", nawet się przez to spóźniłam. Sekretarka z czarującym uśmiechem rzekła: "Pan docent czeka na panią (czyli na mnie) na bloku operacyjnym". W jednej chwili cały czar prysnął. W stroju chirurgicznym, wprawdzie twarowym - jaskrawozielonym oraz w masce na twarzy i fartuchu do ziemi było mi widać tylko oczy. Stałam obok mojego egzaminatora docenta K. i naprzeciw profesora chirurgii plastycznej do zabiegu prostego wycięcia guza sutka. Docent cały czas "wałkował" mnie z terminologią łacińską. Wreszcie profesor powiedział: "Niech pan da spokój tej miłej czarnookiej". Z ulgą odetchnęłam. Niestety na krótko. W czasie badania śródoperacyjnego docent nie zdejmując oczywiście rękawiczek zabrał mnie do swego gabinetu na dalszą odytkę z chirurgii, tzw. miękkiej. Jakoś nie mógł mnie na niczym "dorwać". Kiedy doszliśmy do pęcherzyka żółciowego zapytał znienacka: "Jakie bakterie koleżanko hoduje się najlepiej na pożywkach z żółcią?". Bez namysłu odrzekłam: "Z rodziny salmonelli". Na to docent oburzony - "Nieprawda! Dury i paradury! Warto to zapamiętać". W tym momencie zrobiło mi się gorąco, ale zmęczona roześmiałam się w twarz: "Ależ panie docencie przecież dur brzuszny to po łacinie Salmonella typhi!". Docent sięgnął po mój indeks i zaczął go przeglądać. "Pani ma prawie wszystko zdane?". Tu nastąpiło zaliczenie owego egzaminu z chirurgii. Na koniec powiedział: "Gratuluję" i uściśliśmy sobie dłonie oczywiście w gumowych rękawiczkach. Jak się później dowiedziałam wszyscy zdawali "na galowo" w gabinecie, ale nie licznym to się udało w pierwszym terminie.

*Grażyna PERLIŃSKA-SIUDA*

*Foto: archiwum c.d.n.*

Autorka jest lekarzem chorób wewnętrznych i specjalistą chorób zakaźnych. Od 15 lat pracuje w Szpitalu w Śremie. Obecnie - Oddział Zakaźny. Dodatkowo pełni funkcję Kierownika Przychodni Rehabilitacyjnej przy Spółdzielni Inwalidów "Warta" w Śremie.

Sama wychowuje 13-letniego syna z mózgowym porażeniem dziecięcym. W czasie wakacji jako wolontariusz brała udział w turnusach rehabilitacyjnych dla dzieci niepełnosprawnych. Interesuje się muzyką i sztuką. Kariery zawodowej na razie nie podsumowuje.



# Uroczystość w Turwi



Turew - wioska położona 12 km na wschód od Kościana. Nazwa nierozłącznie kojarzy się z nazwiskiem Chłapowskich. W dużym parku stoi pałac - dawna siedziba rodu. W 1812 r. gościł tu Napoleon. Pałac został przebudowany przez

potomków generała Dedydereggo i nawiązuje do swej dawnej świetności. Można tu obecnie zwiedzać dwa pomieszczenia na piętrze. W dużym salonie jest ciekawa dekoracja ścian w stylu Ludwika XVI oraz neoklasycystyczny sufit, który zrobiono na ślub syna generała Tadeusza z hrabianką Różą Jegierską. Obok jest biblioteka, której sufit zdobią neogotyckie sztukaterie z XIX w. W holu stoi gipsowa kopia popiersia generała (oryginał znajduje się w poznańskim Muzeum Narodowym). Obok pałacu jest zbudowana w latach 1847-48 kaplica neogotycka p.w. Niepokalanej Poczęcia NMP. Wokół pałacu rozciąga się istniejący już w XVIII w. park. Dzisiaj charakter parku ma tylko część

południowa, pozostała część to obszar leśny. Dla ochrony eksztatowanego przez generała krajobrazu rolniczego odpowiednimi zadrzewieniami oraz drobnymi zbiornikami wodnymi, utworzono w 1992 r. park krajobrazowy im. gen. Dedydereggo Chłapowskiego. W samym zaś pałacu mieści się stacja badawcza poznańskiego Zakładu Biologii Rolnej i Leśnej Polskiej Akademii Nauk. To wszystko jest piękną kontynuacją nowatorskich poczynań rolniczych generała. 25 sierpnia 2002 r. odbyła się w Turwi uroczysta msza św. w intencji żywych i zmarłych Chłapowskich. Przybyli na

licy. Mszę św. odprawił i homilię wygłosił ks. biskup Grzegorz Balcerek. Dokonał też poświęcenia tablicy pamiątkowej z nazwiskami przodków i wszystkich krewnych rodu Chłapowskich. Mszę św. uświetniły swym śpiewem połą-

zione chóry "Harfa" z Czempinia, "Lutnia" z Kościana, "Cecylia" z Mosznej i "Moniuszko" ze Śremu. Po mszy św. prof. dr hab. Jerzy Karga z Polskiej Akademii Nauk, prowadzący badania na tym terenie, przedstawił opracowanie nowych technologii rolniczych, jakie są stosowane. Ostatnim już punktem w tym uroczystym dniu był popis indywidualny ww. chórów. Przegląd poprowadził Stanisław Wiśniewski mówiąc że: "To czego nie da się powiedzieć, a czego nie chcemy przemilczeć, możemy przedstawić w pieśni". Każdy z chórów zaprezentował dwie pieśni. Nasz chór "Moniuszko" zaśpiewał: "Nim świt" i "Ave Maria". Otrzymaliśmy gromkie brawa od wszystkich

sluchaczy, również od ks. biskupa, który zasiadł na widowni. Po występach każdy dyrygent i prezes chóru otrzymał okolicznościowy puchar i dyplom z rąk Zbigniewa Domały - radnego Sejmiku Samorządowego Województwa Wielkopolskiego. Postanowiono, że takie spotkania chórne będą odbywać się corocznie i przyczynią się do integracji środowisk chóralno-muzycznych oraz kulturalnych "Małych Ojczyzn".

Urszula CIESIELSKA

Foto: autorka

Literatura: Piotr Maluśkiewicz, Wielkopolskim Traktem, WBP, Poznań 1997.





# Rzeczywistość tajemniczy

*„...widziałem,  
czego nie wyświęci Słowami człowiek,  
choć był w tamtej stronie”  
Dante - „Boska Komedia”*

*Przy tym widok ostro odcinających się  
partii światła i cienia.  
Franz Kafka - „Dzienniki”*

Jerzego Jurge nie interesuje świat zewnętrzny, przy najmniej w aspekcie malarskim, a więc uwikłanie warsztatu w pejzaż czy "martwą naturę". Jego wyobraźnia nie pożąda wysp ani błękitu, zieleni, czy niebieskiego hieroglifu dymu nad polem. Jako artysta doszedł do przekonania, że to zwyczajne atrapy ludzkiej percepcji. To tylko przejaw, forma, ukształtowana zdolność ludzkiego odbierania rzeczywistości. Wyobraźnia, która buduje swe wizje z wysp, błękitu, zieleni, niebieskiego hieroglifu dymu, umożliwia rozpoznawanie światła, ale tylko do pewnej granicy.

Jurga wykracza poza tę granicę, ponieważ przeczuwa, że świat widzialny nie jest jedynym światem, że ma jeszcze wiele innych wyglądów. Sny cieni - cykl z 1997 roku - to próba radykalnego przezwyciężenia względności ludzkiej percepcji. Artysta przeczuwa inne oblicze świata. Przecież to nie jego świadomość "śni" świat, ale cienie "śnią" światy, kręgi światów. spirale jakże dziwnych rzeczywistości. Jurga swoimi obrazami mówi do nas tak - Im bardziej będziecie "zapominali" świat widzialny, tym większe macie szanse zbliżenia się do świata odbieranego "wzrokiem" ukrytym. Z czasem odrodzą się "oczy" percepcji słumionej. A skoro w rzeczywistości dominującą rolę odgrywa świadomość i jej obrazy, należy - powiada artysta - świadomość taką uśmiercić, i oddać głos cieniem. "Co nie ma cienia istnieć nie ma siły" - powiada Miłosz. Ale Jurdze wcale nie o taką moc cienia chodzi. Dla niego najistotniejsze jest, jak najdalsze, jak najskrajniejsze oderwanie cieni od pulsu świadomości. Dlaczego? Bo tylko tak wejdzie w nowe, magiczne światy, pierwotne i baśniowe, w pierwotną czystość wyobraźni, która niczego nie rozdzielając, sama w sobie staje się religią i mitem.

Jurga - zafascynowany Canettim i Kafką - tym oderwaniem myśli od "planety" świadomości, po malarsku rozszfrowuje również tajemnicę zła. Ale również piękna, losu, bólu przeznaczenia. Przechodzi od tonacji "ciemnej", do "jasnej". Mówiąc metaforycznie od srebrnego deszczu do "mleka deszczu".

W rzeczywistości oderwanej od "poła" świadomości, przestają obowiązywać konwencjonalne prawa bytu - deszcz może być srebrny, czy wręcz da się mówić o mleku deszczu", żagiel nie zakwitnie spodziewanym cieniem, jedna "łza deszczu" - tego srebrnego - nabrzmieje w murze złotą kruszyną. A cienie będą się przesuwają niezauważalnie, po kryjomu, jakby na marginesie świata, w tle. Pasek cienia: przy murze ze złotymi drzewami, w uciętej otchłani nieba. Postaci, rozbielone, czy częściej sprowadzone do form przeźroczystych, przenikanie tajemnicą energii, nie odpowiadają na zagadkę istnienia. Przecież również są śnione.

Jurga w obszarze polskiego i światowego malarstwa, prezentuje filozofię świata bardzo bliską J.L. Borgesowi. Nie buduje przy tym obrazu jako założonej alegorii, nie dąży do abstrakcji czy metafizycznego uogólnienia. Redukując obraz do kilku elementów, opowiada o tym, co szczególne. Dokładniej to cienie opowiadają o tym, co szczególne. Autor Snów cieni - jako artysta czuje się bardziej wolny od konwencji - ale przecież pozostaje mistrzem formy, jednorodności przeciwieństw. Dlatego punkt odzywa się po malarsku w punkcie, łza deszczu w złotym okrusku muru, biel w czerni, ślimak na niebie w podziemnym leju, czarny żagiel w trumiennym srebrze liścia, miniatura szkieletu demona na niebie w ciernistym szkliwie demona na ziemi. Tworzy się rytm przeciwieństw, rytm jedności świata.

Tajemnica - powiada Jurga jest wpisana w tajemnicę świata i światów - zło jest również w formie tych światów wplecione. Tak przemawiają do nas obrazy, nawet wtedy, gdy cienie oddalają się od "wyspy", o nazwie świadomość.

Nie szukajcie Jurni w tradycji Boscha, Blake'a, Memlinga, Goyi, Mucha. Jakieś okrucy z tamtych światów przenikają do jego wizji. Ale Jurga jest jedyny, osobny - rozpięty - gdyby przyglądać się analogiom w przestrzeniach literatury - pomiędzy Kafką a Schulzem.

A może fundamentem całego świata jest niedorzeczność bytu? Artysta pyta i szuka w nas odpowiedzi.

Andrzej OGRODOWCZYK



# „W szarość” malarstwo

**Jerzy Jurga** urodzony w 1940 roku, absolwent Katedry Historii Sztuki UAM w Poznaniu. Laureat Konkursu Malarzkiego im. J. Spychalskiego w 1986 roku. Autor wystaw indywidualnych i zbiorowych.

Wystawy:

- 1968 - udział w wystawie zbiorowej, Królikarnia - Warszawa
- 1971 - wystawa indywidualna, Galeria BWA - Piła
- 1974 - wystawa indywidualna, KMPIK - Poznań
- 1975 - wyjazd do Włoch, praca w Muzeum Watykańskim
- 1976 - wyjazd do Szwajcarii, wystawa indywidualna, Muzeum Regionalne - Gorzów
- 1978 - wystawa indywidualna zorganizowana przez BWA Poznań w Gnieźnie i Śreńie
- 1983 - wystawa indywidualna, Muzeum Regionalne - Kościan
- 1985 - wystawa indywidualna, Galeria KMPIK Poznań-Rataje, organizator BWA Poznań
- 1986 - uzyskuje status artysty plastyka w dyscyplinie malarstwa na podstawie decyzji wydanej przez Ministerstwo Kultury i Sztuki Departament Plastyki. Decyzję wydano na podstawie dorobku artystycznego.  
"Bal agonalny" zamyka roczną działalność galerii.  
II nagroda i wyróżnienie w XIII Ogólnopolskim Konkursie Malarzskim na obraz im. Jana Spychalskiego
- 1988 - "Maszyna do porządkowania Natury" - wystawa w Galerii Ewy Polony w ramach INTERARTU' 88
- 1989 - wyjazd do Francji i Hiszpanii, udział w Międzynarodowych Targach Sztuki INTERART, zostaje członkiem The British Crossbow Society
- 1990 - wystawa zbiorowa Hiemesch Galery Bazylea
- 1991 - wyjazd do Stanów Zjednoczonych, indywidualna wystawa w Muzeum Polskim w Chicago  
udział w festiwalu sztuki polskiej Polish Artfest.  
udział w Chicago Art. Expo  
wystawa zbiorowa "Transformacja" Center for the Arts - Michigan
- 1992 - udział w Międzynarodowych Targach Sztuki Tokio Art. Expo.  
Festiwal Galerii Ewy Polony Galeria Miejska Poznań.  
"Major Arkana" wystawa indywidualna w Galerii Polony, Muzeum Śremskim oraz w Muzeum w Kaliszu
- 1993 - "Wróżba" Galeria Zderzak, Kraków  
Targi Sztuki Der Kunstmarkt Hannover
- 1994 - A Celebration of Human Freedom and Dignity - Sunbird Gallery Bend - Oregon
- 1995 - wystawa indywidualna, "Zapisane" - Muzeum Śremskie.  
wystawa indywidualna, "Zapisane" - Scena i Galeria Anny Kareńskiej Poznań
- 1996 - wystawa indywidualna, "Zapisane" - BWA Leszno
- 1997 - wystawa kusz, Muzeum Śremskie
- 1999 - wystawa indywidualna, Galeria u Adwokatów Kubiak Szkurat.  
wyjazd do Australii, indywidualna wystawa w Galerii Phil and Ania Sorter Tamborine Mountain Queensland.
- 2000 - międzynarodowy plener malarski Atelier Otto Niemeyer Holstein Koserow, Niemcy.  
wystawa zbiorowa zorganizowana przez Galerię Polony w Galerii Kchelofen Fabrick Neusterlitz, Niemcy.
- 2001 - wystawa kusz, Rožnov Czechy
- 2002 - wystawa indywidualna, Galeria Sztuki Współczesnej Profil - Centrum Kultury Zamek, Poznań.
- 2002 - wystawa "W szarość", Galeria 99 Muzeum Śremskie



Foto: archiwum

**WYSTAWA CZYNNA W PAŹDZIERNIKU  
ZAPRASZAMY**





# KINO SŁONKO ZAPRASZA W PAŹDZIERNIKU

## DZIEŃ ŚWIRA

4-7. 10. godz. 19:00

"Dzień świra" jest gorzką komedią opowiadającą o Adasiu Miauczynskim, człowieku dla którego prawdziwym piekłem jest najbliższe pięć minut życia. Mężczyzna ten uwikłany jest w natręctwa życia codziennego. Jest numeromanem, ablutomanem, nie akceptuje siebie i choć marzy o wielkiej miłości, ucieka od wszystkiego, co pachnie stałym związkiem. Na dodatek codzienne kontakty z ludźmi wywołują w nim agresję. W ciągu jednej doby, w czasie której rozgrywa się akcja "Dnia świra", skoncentrowane zostały wszelkie możliwe uciążliwości.

komedia, prod. Polska 2002, reż. Marek Koterski  
wyst. Marek Kondrat, Cezary Pazura, Piotr Fronczewski

## E-MC2

11-14.10. godz. 19:00

Współczesna komedia o nietypowym gangsterze, który postanawia zdobyć tytuł naukowy oraz o perypetiach nieprzypadkowo zaplątanego w tę sprawę pracownika akademickiego...

komedia prod. Polska 2002, czas: 116 min., reż. Olaf Lubaszenko  
wyst. Olaf Lubaszenko, Cezary Pazura, Agnieszka Włodarczyk

## SCOOBY-DOO

18-21. 10. godz. 17:00

Fabularna wersja serialu animowanego o czwórce przyjaciół i ich wiernym lecz trochę złośliwym towarzyszu, psie. Scooby-Doo, Fred, Daphne, Velma, Shaggy to niezwykle zgrana grupa, która - na ogół dość przypadkowo - trafia na ślad tajemniczego zdarzenia: kradzieży, zniknięcia... Mimo pozornej niezdarności i lękliwości pies Scooby i przyjaciele zawsze znajdują rozwiązanie zagadki...

komedia, prod. USA 2002, czas: 87 min. reż. Raja Gosnell  
wyst. Sarah Michelle Gellar, Freddie Prinze Jr.

## WŁAMANIE NA ŚNIADANIE

18-21. 10. godz. 19:00

Przystojniak Joe i hipochondryk Terry uciekają z więzienia. Uciekają z Oregonu do Kalifornii przez cały kraj, po drodze rabując banki, aby zebrać fundusze na swój nowy, wspaniały sposób na życie, za południową granicą. Zostawiają za sobą przerażonych bankierów i zachwyconą publiczność. Niestety sprawy zaczynają się komplikować, kiedy spotykają na swej drodze Kate, gospodynię domową znudzoną swoim nudnym życiem, która potracą Terrego

samochodem. Kate przyłącza się do uciekinierów, aż w końcu sama także coś ukradnie - ich serca. Obaj uciekinierzy zakochują się w Kate, która odpowiada uczuciem do... obydwu. Joe i Terry nie są doskonali, ale razem tworzą nieomal męczyznę idealnego. sensacyjny, prod. USA 2001, czas: 123 min., reż. Barry Levinson  
Wyst. Bruce Willis, Bill Thornton, Cate Blanchett

## STUART MALUTKI 2

25-28. 10. godz. 17:00

Od czasu naszej ostatniej wizyty u rodzinki Malutkich sporo się zmieniło. Stuart jest w rewelacyjnej formie i cieszy się nowym życiem na całego. Jeździ do szkoły (swoim własnym samochodem), z sukcesem pomaga budować modele samolotów i jest dumny z drużyny futbolowej, którą udało mu się stworzyć. Uwielbia też bawić się ze swoim dużym bratem, Georgem i malutką siostrzyczką, Marthą Malutką (Anna Hoelck i Asheley Hoelck). Nawet gburawy i arogancki kot, Snowbell, na swój sposób zaprzyjaźnił się ze Stuartem. W malutkim świecie malutkiej myszy wszystko wydaje się układać pomyślnie.

komedia, prod. USA 2002, czas: 78 min. reż. Bob Minkoff

## SZYFRY WOJNY

25-28. 10. godz. 19:00

Film sensacyjny w reżyserii mistrza gatunku Johna Woo ("Mission Impossible II"), którego akcja rozgrywa się w czasach II wojny światowej. Amerykański żołnierz (Nicolas Cage) otrzymuje od swych przełożonych niezwykle zadanie: ma za wszelką cenę chronić młodego Indianina z plemienia Navajo, którego języka wojsko używa do przesyłania zaszyfrowanych wiadomości.

dramat wojenny, prod. USA 2002, czas: 133 min., reż. John Woo  
Wyst. Nicolas Cage, Adam Beach, Christian Slater.

## PIANISTA

2-4. 11. godz. 19:00

Film opowiada prawdziwą historię kompozytora Władysława Szpilmana, któremu udało się uniknąć deportacji do obozu koncentracyjnego. Przez długie lata wojny Szpilman ukrywał się, uciekał. Przy swym boku miał tylko jednego wiernego przyjaciela, który pomógł mu przetrwać ciężkie czasy. Tym przyjacielem była muzyka.

dramat, prod. Francja/Polska/Wlk. Brytania 2001, czas: 148 min.  
reż. Roman Polański, muz. Wojciech Kilar.  
Wyst. Adrin Brody, Michał Żebrowski, Zbigniew Zamachowski



# DKF KLAPS

Każdy wtorek, godz. 19:00,  
karnet na miesiąc - 24 zł, bilet na 1 seans - 8 zł.

## CZEKAJĄC NA WYROK - 1. 10.

Dramat - dreszczowiec, prod. USA 2001, czas: 111 min.

Reż. Mark Forster, wyst. Halle Berry - Oscar'2002)

Hank Grotowski (Billy Bob Thornton), wiecznie zaplącany był gлина, mieszka z ciężko chorym ojcem (Peter Boyle) gdzieś na południu Georgii. Hank i jego syn Sonny pracują w stanowym więzieniu. Obaj przygotowują egzekucje więźniów. Hank ostrzega syna, żeby ten nie zaprzysięgał się ze skazanymi. Niestety Sonny coraz bardziej zbliża się do Lawrence'a Musgrove (Sean Combs). Kiedy Musgrove zostaje stracony, Sonny nie potrafi się z tym pogodzić i popełnia samobójstwo. Hank jest zdruzgotany śmiercią syna. Przypadkowo spotyka Letitię Musgrove. Kobieta właśnie straciła męża (nie przyznaje się jednak Hankowi, jak to się stało). Synek Letitii, Tyrrell, ulega wypadkowi samochodowemu. Chłopiec umiera. Letitia i Hank stracili swoich bliskich, tym bardziej zbliżają się do siebie. Nie przypuszczają nawet, że łączy ich jeszcze osoba Lawrence'a...

## FANATYK - 8. 10.

Dramat, prod. USA 2001, czas: 98 min.

Reż. Henry Bean, wyk. Ryan Gosling, Summer Phoenix, Glenn Fitzgerald

Wspomniał scenariusz, doskonale aktorstwo i porywająca fabuła. Ten film nikogo nie pozostawi obojętnym. Przez krytyków w wielu krajach na świecie uznany za jedno z najciekawszych wydarzeń ubiegłego roku. Film zdobył pierwszą nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Moskwie, nagrody otrzymał również na Festiwalach w Toronto, Monachium, Jerozolimie oraz na Warszawskim Festiwalu Filmowym.

"Fanatyk" jest współczesną opowieścią o młodzieńczym buncie nowojorskiego chłopaka - Żyda. Obdarzony silną osobowością, samodzielnie myślący uczeń jeżywi, podczas rozważań nad wersetami Tury traktującymi o boskim żądaniu, by Abraham w imię wiary ofiarował własnego syna Izaaka - Danny Balint, doznaje szoku porażony okrucieństwem Boga. W interpretacji chłopaka przypowieść jest dowodem pychy i siły niszczącej ludzką miłość. Wstrząsające odkrycie prowadzi Dannego do otwartej wojny z Bogiem i do tym idzie do przeciwstawienia się własnej społeczności, załamanie jej tożsamości religijnej i kulturowej. W prostej konsekwencji chłopak staje się antysemitą, okrutny jak jego Bóg dotyka do skinheadów. Nienawidzi swoich i pogardza jednocześnie ludźmi krwi osiłkami. Brnie dalej, dzięki swojej inteligencji mniemając jako ideolog w organizacjach neofaszystowskich.

## CHŁOPIEK, KTÓREGO NIE BYŁO - 15. 10.

Grotesk kryminalny, prod. USA 2001, czas: 116 min.

Reż. Joel Cohen, wyst. Billy Bob Thornton, James Gandolfini,

Nagrodził Joela Cohena za najlepszą reżyserię na 54. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cannes 2001. Ed Crane jest nieśmiały, małym młodym fryzjerem w małym miastecz-

ku Santa Rosa w północnej Kalifornii. Jego żona Doris, pracuje w sklepie wielobranżowym, na co dzień preferując towarzystwo swojego szefa, Dużego Davea. Ed nie jest zadowolony ze swojego dotychczasowego życia. Któregoś dnia klient o nazwisku Tolliver proponuje mu wspólny interes, który może odmienić jego życie. Ed musi jednak zdobyć 10 tys. dolarów. Postanawia zaszantażować Dużego Davea. Od tej chwili Ed wpada w coraz większe tarapaty. Wplątuje się w morderstwo. Jego żona trafia do więzienia. Nie da się ukryć, że udało mu się odmienić swoje monotonne życie. Pytanie tylko czy aby na pewno tego chciał?

## KOLA - 22. 10.

Dramat, prod. Czechy/Francja/Wlk. Brytania 1996, czas: 104 min.

Reż. Jan Sverak, wyk. Zdenek Sverak, Andriej Chalimon

Czechy, ostatnie lata socjalizmu. Bohaterem jest wiolonczelista: wyrzucony przed laty z filharmonii - zarabia na życie gra w domach pogrzebowych i kościołach. Przyciśnięty biedą decyduje się zawrzeć fikcyjne (i płatne) małżeństwo z Rosjanką. Rosjanka wyjeżdża na zachód, zostawia kilkuletniego syna.

## FILMOWE ROCKVISION

### SEX PISTOLS - WŚCIEKŁOŚĆ I BRUD

Zespół Sex Pistols istniał tylko 26 miesięcy i nagrał tylko jeden album. Film Julien Temple jest niepokornym, intymnym i szokującym portretem zespołu, który został okrzyknięty najbardziej wpływowym i najbardziej rozpoznawalnym zespołem wszech czasów. Film dokumentuje historię Sex Pistols, kreśląc ich drogę od powstania w tylnych uliczkach Londynu lat 70. poprzez ich ukryzowanie przez brytyjskie gazety brukowe, kanonizację przez setki tysięcy fanów na całym świecie i końcowy wybuch podczas trasy koncertowej w Ameryce. Przy okazji zostają obalone różne mity - po raz pierwszy można usłyszeć słowa członków zespołu, kiedy wyszli z cienia swego egocentrycznego byłego menedżera, Malcolma McLaren'a.

"Myślę, że zespół Sex Pistols jest antytezą rodzaju ludzkiego.

Cały świat byłby lepszy, gdyby nie ich egzystencja."

Bernard Brook Patridge, Radny Londynu, 1977

prod. W. Brytania 2000, reż. Julien Temple, czas: 100 min.

### WILD MAN BLUES

Woody Allen - jeden z najoryginalniejszych twórców kina - reżyser, scenarzysta, aktor, kompozytor, muzyk. Reżyserka, Barbara Kopple, towarzyszy jazzowej grupie Woody'ego Allena w czasie europejskiej trasy koncertowej. Na każdym z koncertów, niezależnie czy grają w Paryżu, Madrycie, Wenecji czy w Londynie, towarzyszą im tłumy. Nie wszyscy przychodzą tylko po to, by posłuchać muzyki. Dla wielu najważniejszy jest słynny twórca. Reżyserka pokazuje również prywatne, prawdziwe oblicze słynnego aktora, któremu daleko do gwiazdorstwa - i tutaj towarzyszą mu lęki, fobie, dziwne nawyki, niezadowolenie z samego siebie. Dodajmy, że od wielu lat Allen raz w tygodniu grywa na klawirze w nowojorskim jazz klubie Michael's Pub.

prod. USA 1997, reż. Barbara Kopple, czas: 104 min.

KINO SŁONKO, 10. X. godz. 18:00, bilet na jeden film - 8 zł, na dwa filmy - 12 zł.



## **Eugeniuszowi FERSTEROWI**

Portretu samą esencję  
lekka kreśli ręka...  
Oko twarz mą lustruje,  
zagląda do wnętrza...  
Ledwie przemienie chwila...  
O! powiem co nieco  
- już jest karykatura  
albo szkic portretu.  
Autor - mistrz pędzla, kredki  
w śremskim grodzie znany  
i poza nim grafikami  
też jest rozstawiany.  
A tęczą w jego włosach  
zgubiła kolory,  
rozbryzgami farb kwietne  
utworzyła wzory.  
Czy myśli także w barwach  
przepysznie dobranych?  
Pewność ręki i swada  
niech przy Nim zostaną

Uścisk dłoni... Wyszliśmy.  
Na mnie ktoś już czekał...  
Dziwnym zrzędzeniem losu  
poznałam Człowieka.

sierpień 2002

Olga, Maria Bąkowska - autorka rymowanej impresji mieszka i pracuje w Częstochowie.  
Szkic węglem wykonany ręką Stanisława Mrowińskiego. (red.)



**GAZETA ŚREMSKA** - siedziba redakcji - Muzeum Śremskie, 63-100 Śrem, ul. Mickiewicza 89, tel. 061/28 35 938,  
e-mail: muzeum@nx.pl

**Redagują:** Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny), Barbara JAHNS (redaktor prowadzący).

**Wydawca:** Zarząd Miejski w Śremlu

**Skład komputerowy, fotonaświetlanie:** WIGO, Śrem, tel./fax (061)28-30-216, e-mail: wigo@pro.onet.pl

**Druk:** S. Tomczak, Śrem, tel. (061) 28-35-068.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam oraz zmiany programów i terminów wprowadzonych po oddaniu numeru do druku.





Foto. B. Jahns

# UŁANI, STRZELCY KONNI, SZWOLEŻEROWIE

październik  
Muzeum Śremskie





Katarzyna Niemczewska Papież - Muzeum Śremskie 2002 (akwarela)

## *Muzeum Śremskie zaprasza*

|                          |             |
|--------------------------|-------------|
| poniedziałek             | 8.00-15.00  |
| wtorek                   | 8.00-17.00  |
| środa                    | 8.00-15.00  |
| czwartek                 | 8.00-15.00  |
| piątek                   | 8.00-15.00  |
| II niedziela<br>miesiąca | 10.00-17.00 |

Śrem, ul. Mickiewicza 89, tel. 28 35 938  
[www.muzeumsremskie.nx.pl](http://www.muzeumsremskie.nx.pl)  
e-mail: [muzeum@nx.pl](mailto:muzeum@nx.pl)